

KLASY ŻYCIA

Niestety, z rodzicami częściej więcej kłopotów niż z dziećmi. Albo są zaślepieni materzyńską miłością i nie dostrzegają w porę aleciwa dziecka lub wmawiają sobie, że tak nie jest, albo są zupełnie na nie obojętni.

STR. 7

BRAWUROWA UCIECZKA

czyli pamiętnik
Jerzego Bieleckiego,
więźnia Oświęcimia
nr 243.

STR. 10

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

27

(403)

KONTAKTY

1988.07.10

cena
35 zł



DANUTA i ALEKSANDER WRONISZEWSKY

„Jak dziki zwierzę przyszło
do człowieka
i zatopilo weń oczy...
— Czekaj —
Czy, człowiek, zboczy?”

CYPRIAN KAMIL NORWID

NIESZCZĘŚCIE NIE PRZYSZŁO nieoczekiwanie. Czailo się latami, pomrukiwało groźnym echem utarczek, strajków i politycznych procesów oraz przybiegającą na sile falą zagranicznego faszyzmu i rodzimego nacjonalizmu.

W prowincjonalnej mieścinie, jaką było w latach trzydziestych niespełna trzytysięczne Jedwabne, na wielkiej polityce znano się niewiele. Poza komunistami, rekrutującymi się głównie z ludności żydowskiej, i nielicznymi ludowcami-Polakami, kontakt z „szerokim światem” miała pani dziedziczka, ksiądz proboszcz, lekarz, burmistrz... Dla pozostałych — miejscowych, i okolicznych — „całym światem” było miasteczko, a areną najważniejszych wydarzeń — rynek.

...ABY ŻYĆ

— Na jego środku — wywołują z pamięci jego przedwojenny obraz mieszkańcy — stała hala zbudowana w kształcie samolotu. Plac był brukowo-trawiasty, otoczony gęsto posadowionymi żydowskimi domami z licznymi sklepami, warsztatami i trafikami. W dni powszednie w sklepikach więcej czasem było targowania niż utargu. Ale na jarmarki i targi ściągali do Jedwabnego okoliczni rolnicy i kupcy. Ruch na drogach zaczynał się wówczas już o brzasku.

W dni świąteczne ten sam tłumek, odświętnie wyswieżony, rozdzielał się: jedni szli do bóżnicy, drudzy do kościoła. W 1935 r. poświęcono przy rynku nowy, murowany, zbudowany w miejsce drewnianego, który się spalił w czasie pierwszej

wojny. W nowym kościele proboszcz Sz., zwolennik „narodówki”, głosił nowe idee importowane z hitlerowskich już Niemiec. W dni targowe pojawiały się przed żydowskimi sklepikami pikiety. Hasło „Nie kupuj u Żyda!” nie odnosiło jednak większego skutku, skoro polski handel i rzemiosło prawie nie istniały. Utrzymywały się jakoś zaledwie dwa polskie sklepiki kolonialne; większość plajtowała, nie wytrzymując żydowskiej konkurencji. Wprawdzie i wśród Żydów nie wszystkich stać było na łazanki z serem i cynamonem, ale tych, którzy zadowalać się musieli talerzem kaszy, cebulą i rzodkiewką, kahal wspierał finansowo, skutecznie chroniąc

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

BOGACI I BIEDNI

SUKCES NA WODZIF

ALICJA NIEDŹWIECKA

Ludzie sukcesu i pieniędzy. Złotówek i dolarów. Co ich pcha w górę? Ambicja menadżerów, chęć posiadania? Hazard czy ekonomiczna roztępa? Stać ich na wszystko. W jakim stopniu mogą z tego korzystać? Jacy są? Jak żyją? Jakie mają satysfakcje, jakie niespełnienia? Co złożyło się na sukces?

I.

Dla jednych wzór (— Prawdziwy rzemieślnik, ciągle inwestuje, a jeszcze pracuje społecznie). Dla innych człowiek kontrowersyjny, szalony, bez poczucia rzeczywistości. (— Po co mu to wszystko? I tak mu zabiorą).

— Dlaczego nie mam być pierwszym rzemieślnikiem w Polsce? — on na to.

Hazard. Wariactwo tak się ustawiać pod niepewne wiatry.

— Szczyt hazardu — odpowiada Irena Parchanowicz, długoletnia partnerka i współniczka tych „szaleństw”. — Ale on już taki jest. Zawsze był takim. A przecież choruje na serce.

— Do czegoś doszedłem. I nie zostałem w piwnicy.

Roczny przerób jego zakładu — 300 milionów złotych ok. 70 mln płaci do kasy państwa. Zarabia się tutaj od 40—80 tysięcy.

II.

Czy może być zamożność bez sukcesu? Tak. Osiągnęli co chcieli i na tym poprzestają, chociaż bogactwo nie daje im pełnej satysfakcji. Zenon, Siergiejewicz — młody, władczy w sposobie bycia — chyba nie umiałby istnieć bez działania. Bez pomysłów na życie i ich realizacji. „Przy okazji” robi pieniądze. Ale przecież nie liczy groszy zarobionych na każdej butelce. Nie tak. Ambicje są znacznie większe.

CIĄG DALSZY NA STR. 6

w następnym numerze:

■ CHANDRA SUPERMANA: Trudno im powiedzieć, czy je gwałcił. ● SUKCES PRZEZ DIABŁA: Marzy mu się wyjazd. Niekoniecznie za „wielką wodę”. Byle tam. ■ SUKCESU CIERPKI SMAK: LKS nine jest trzeciologowym nowicjuszem.

FABRYKA KOSZUL przy Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Narew” w Łomży (zgodnie z założeniami techniczno-ekonomicznymi) zatrudniać będzie 987 osób i produkować 2,7 mln koszul rocznie, z czego 80 proc. trafi na eksport. Jeśli Rada Pracownicza ZPP „Narew” wyrazi zgodę na opracowanie szczegółowego projektu, budowa rozpocznie się w 1990 r. i potrwa trzy lata. Potrzebne są jednak ogromne środki: 2,5 mld złotych i 2,5 mln dolarów według cen z 1987 r.

TOWARZYSTWO PRZYJACIOŁ DZIECI organizuje w Białymstoku, Warszawie, Łomży i Ciechanowie kolonie dla 1160 dzieci wiejskich. Około 300 dzieci przebywać będzie na koloniach zdrowotnych, 42 wyjeżdże do NRD, 45 do RFN (po raz pierwszy).

WOJEWÓDZKI ZWIĄZEK Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” urządzi w klubach rolnika podczas wakacji 10 dziecińców, 4 „zielone przedszkola” i 15 punktów opieki.

180 JUNAKÓW OHP podejmie w lipcu pracę w przedsiębiorstwach województwa łomżyńskiego. Zatrudnią ich między innymi mleczarnie w Kolnie, Wysokiem Mazowieckiem i Zambrowie oraz Zakład Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Chojnach. Część młodzieży znajdzie pracę poza województwem, m.in. 20 chłopców w przedsiębiorstwie budowlanym w Gorzowie Wielkopolskim i 20 w Czechosłowacji.

ZNIWA ZA PASEM. WZGS zamówił w tym roku 120 tys. szpul szpagatu. 80 tys. trafiło już do rolników. Pracownicy Zakładu Zaopatrzenia WZGS sygnalizują brak płócien i kos do wiązań, zaś grąjewska „Agroma” zapewnia, że posiada komplet części zamiennych do kombajnów zbożowych. Czy wystarczy — okaże się w trakcie żniw.

SKUP RUNA LESNEGO w 106 punktach w województwie łomżyńskim rozpoczęło Białostockie Przedsiębiorstwo Produkcji Leśnej „Las”. Za kilogram czarnych jagód płaci 450 zł, a za kg kurek — 1500. Pierwszy transport pojechał już do RFN.

WOJEWÓDZKA SPÓŁDZIELNIA Ogrodniczo-Pszczelarska po nieudanym sezonie truskawkowym (skupiła 300 ton — jedną trzecią tego co przed rokiem) proponuje zawieszony odbiór ziemniaków. Podpisane zostały już umowy na dostawę 2 tysięcy ton ziemniaków odmian jesiennych.

PRZERWA W DOPŁYWIE ciepłej wody do łomżyńskich mieszkań potrwa od 15 lipca do 13 sierpnia. Związane jest to z remontem sieci wodociągowej i podłączeniem nowych budynków.

JADWIGA KWIATKOWSKA, pracownica Klubu Prasy i Książki w Kolakach Kościelnych, otrzymała nagrodę indywidualną II stopnia prezesa RSW „Prasa-Książka-Ruch” za inicjatywę i osiągnięcia w działalności kulturalno-oświatowej.

KOLEJNE NAGRODY dla łomżyńskich dziennikarzy. Nasz redakcyjny kolega — Władysław Tocki otrzymał nagrodę Klubu Publicystów Rolnych SD PRL oraz nagrodę Wydawnictwa Spółdzielczego. Danutę i Aleksandra Wroniszewskich wyróżniono w konkursie na reportaż organizowanym przez „Kontrasty”. Nagrodę Wydawnictwa Spółdzielczego wywalczył również Jerzy Brodziuk z oddziału łomżyńskiego „Gazety Współczesnej”.

OD 1 LIPCA BENZYNA po cenach komercyjnych: etylina 94 — 300 zł, etylina 86 — 260 zł. W naszym województwie można ją kupić tylko w Łomży, na stacji CPN przy ul. Wiejskiej. W pierwszych dniach sprzedaży kolejek nie było.

ZACHODNIA PRASA w łomżyńskich kioskach. Amerykański „Time” kosztuje 450 zł, żurnal mody „Brigitte” — 1000 zł, czasopismo hobbystyczne dla myśliwych — 900 zł. Na razie sprzedaż pism zagranicznych prowadzi tylko kiosk przy

placu Niepodległości (przy kasach PKS).

NOWE CENY SKUPU produktów rolnych obowiązują od 1 lipca. Cena żyta wzrosła z 3600 do 4050 zł za kwintal, pszenicy — z 4600 do 5100, owsa i mieszanek zbożowych z 3400 do 3800, żywcza wieprzowego — z 330 do 380 zł za kilogram, mleka — z 50 zł 60 gr do 60 zł 50 gr za litr.

CENY NA TARGU w Ciechanowcu: żyto 4400 zł za kwintal, pszenica — 5500, jęczmień — 5300, owies — 4500, mieszanek zbożowych — 4300, ziemniaki stare — 1500; ziemniaki młode — 80—100 zł za kilogram; para prosiąt — 12—18 tys., para warchlaków — 22—35 tys.; tucznik (150 kg) — 420 zł kilogram; krowa z przychowkiem — 150—200 tys.; cielę na rzeź — 450 zł kg, owca na chów — 22—25 tys., koń roboczy — 500—7000 tys., kureczak — 800 zł, jaja kurze — 33 zł sztuka, ogórki — 200—300 zł za kg, kapusta — 100—150 zł główka, czarne jagody — mniej niż na skupie — 400 zł za kg.

BESTSELLEREM STAŁA SIĘ, wydana niedawno przez „Iskry”, książka Barbary Makowskiej-Witkowskiej pt. „Wezwanie”. Przypominamy, że „Kontakty” drukowały ją wcześniej, jako jedyne pismo w kraju

gościł w Łomży

Prof. Kazimierz Secomski — członek Rady Państwa.

zaprosili nas

Biuro Organizacyjne X Festiwalu Filmów Społeczno-Politycznych — na festiwal; Związek Spółdzielni Mleczarskich w Łomży — na podsumowanie konkursu pt. „Mleczna stokrotka”.

(nie bez pewnych kłopotów). Autorka, lekarka warszawskiego pogotowia, stała się bohaterką głośnego w roku 1984 procesu. Oskarżono ją o napad i okradzenie pacjenta; przesiadła w areszcie 13 miesięcy, aby zostać uniewinnioną ze wszystkich zarzutów. Po odzyskaniu wolności oskarżyła prokuraturę o niesłuszną aresztowanie i sprawę wygrała. O tym i o pracy w pogotowiu — pisze w swojej książce. Być może „Kontakty” mają nosa do bestsellerów i taka sama kariera czeka również drukowany na naszych łamach pamiętnik Jerzego Bieleckiego, wieźnia Oświęcimia (tytuł „Brawurowa ucieczka”).

„KONTAKCIKI” wraz z wieloma ze swych młodych czytelników udadały się na wakacje. Czy z nich wróca — pokaże wrzesień. A poważnie: z powodów ekonomicznych nasza redakcja zmuszona została, choć z przykrością, do zawieszenia wydawania dziecięcego dodatku. Laureatami nagród za rozwiązanie głowolamank z ostatniego, czerwcowego numeru „Kontakcików” zostali: Jolanta Dekarz (Trzebiatne), Andrzej Modzelewski (Kolno) i Krystyna Oledzka (Łopienie Jeże).

V OGÓLNOPOLSKIE REGATY Żeglarskie Spółdzielczości Mieszkaniowej „O błękitną wstęgę pokoju

Jeziora Rajgrodzkiego” wygrała załoga z Sokółki (woj. białostockie) przed zespołami z Grudziądza i Łomży (klub „Aureus”). Jednocześnie z zawodami odbywał się I Ogólnopolski Sejmik Żeglarski Spółdzielczości Mieszkaniowej, na którym przedstawiono pomysły, aby stworzyć w Rajgrodzie centralny ośrodek żeglarski spółdzielczości mieszkaniowej.

ORGANIZATORZY KONKURSU plastycznego „Łomża '88” zapraszają do udziału wszystkich malarzy-amatorów, którzy do 30 sierpnia br., pod adresem Wojewódzkiego Domu Kultury w Łomży (ul. Sadowa 12), nadesłają trzy płótna przedstawiające pejzaż województwa łomżyńskiego, namalowane farbą olejną. Prace muszą być oprawione, opatrzone godłem. Do przesyłki powinna być dołączona koperta zawierająca podstawowe dane o autorze. Szczegółowych informacji udziela: WDK w Łomży, tel. 30-06, i Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, tel. 65-62.

„KWIATY” — to tytuł wystawy malarstwa i rysunku Ireny Hul. Otwarcie w czwartek, 7 lipca o godz. 19.00 w klubie „Pod Arkadami”.

MUZEUM HISTORII I ETNOGRAFII z Wilna prezentuje wystawę dziewiętnastowiecznego litewskiego stroju ludowego. Można ją podziwiać w salach Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu od 7 lipca do 5 sierpnia, codziennie od 8.00 do 16.00. Otwarcie w czwartek, 7 lipca, o godz. 16.00.

PIERWSZE WYGRANE „Kontaktovej”: odkurzacz (los z Łomży), zegarek kwarcowy i obrus (obie w Elku). Na odważnych czekają m.in. samochody osobowe (trabant, zaporożec i fiat 126p), telewizory kolorowe, pralki automatyczne, zamrażarki.

NA GORĄCO

ZWIERCIADŁO
RADY.

Wystarczy jeden rzut oka na listę nowych radnych Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łomży, by stwierdzić, że mamy do czynienia z zespołem zupełnie nowych ludzi. Na 120 osób tylko 23 były członkami Rady poprzedniej kadencji, a aż 96 piastuje mandat WRN w ogóle po raz pierwszy w życiu; po raz drugi — 15 osób, po raz trzeci i więcej — 9. Wśród radnych jest 93 mężczyzn i 27 kobiet, co stanowi pewne przesunięcie „układu sił” na korzyść płci pięknej (w poprzedniej kadencji 101 i 19).

Wyborcy największym zaufaniem obdarzyli kandydatów w wieku od 35 do 59 lat (aż 87 radnych) i pod tym względem gusta wyborców nie zmieniają się od lat. W ogóle struktura wieku nowych członków WRN jest niemal identyczna jak w latach ubiegłych. Za to wyraźnie wzrósł poziom wykształcenia. Dyplom wyższej uczelni posiada 60 radnych (w ustępującej radzie — 43), średnie wykształcenie — 34, zasadnicze zawodowe — 16. Zmniejszyła się znacznie liczba radnych legitymujących się tylko ukończeniem szkoły podstawowej — z 26 do 10.

W skład WRN wchodzi 3 robotników i 37 rolników indywidualnych. W poprzedniej Radzie ich udział był znacznie większy: 11 robotników, 50 rolników. 28 radnych pełni kierownicze funkcje w administracji, gospodarce i organizacjach politycznych (poprzednio 39), 10 — to inżynierowie i technicy nierolniczy, 12 — nauczyciele. Poza tym mamy 2 prawników, 6 ekonomistów, 4 medyków i 20 inżynierów rolników.

Skład polityczny WRN zmienił się nieznacznie. 52 radnych należy do PZPR (poprzednio 54), 19 do ZSL (19), 7 do SD (7); skorzystali na tym bezpartyjni. Jest ich teraz w WRN — 42 (było 40).

Statystyczny radny nowej kadencji jest więc mężczyzną w wieku 35—59 lat, posiada dyplom wyższej uczelni i po raz pierwszy uzyskał mandat WRN. (jon)

KRONIKA

* Na inauguracyjnej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej radni nowej kadencji złożyli uroczyste ślubowanie i wybrali spośród siebie Prezydium. Przewodniczącym WRN został ponownie Władysław Puławski, a wiceprzewodniczącymi: Mieczysław Brzeziński, Józef Mioduszewski i Cecylia Sobolewska. Na przewodniczących poszczególnych komisji wybrano: Romana Englara — Komisja ds. Samorządu; Czesława Zagdańskiego — Komisja Rozwoju

Społeczno-Gospodarczego, Przestrzennego i Gospodarki Finansowej, Stanisława Radziszewskiego — Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, Mariannę Bylicką — Zaopatrzenia Ludności i Ochrony Konsumenta, Helenę Gutowską — Drobnej Wytwórczości, Usług i Rzemiosła, Andrzeja Ogrodnika — Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, Mirosława Karkówkę — Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, Tadeusza Susola — Oświaty, Wychowania i Kultury Fizycznej, Stanisława Zagórskiego — Kultury i Sztuki, Jerzego Szymanowskiego — Zdrowia i Spraw Socjalnych, Sta-

nislawa Mikielskiego — Przestrzegania Prawa i Porządku Publicznego.

* Na pierwszej sesji nowej, 90-osobowej Miejskiej Rady Narodowej w Łomży radni ponownie powierzyli funkcję przewodniczącego Wacławowi Jerzemu Kierażyńskiemu. Złożyli uroczyste ślubowanie i zapoznali się z przebiegiem wyborów. 19 czerwca do urn wyborczych zgłosiło się 48 proc. uprawnionych do udziału w wyborach mieszkańców Łomży (zał. od okręgu frekwencja wahała się od 30 do 50 proc.).

* O wynikach kontroli w drugim kwartale br. dyskutowali członkowie Wojewódzkiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR oraz pracownicy PIH, PISIPAR, Sanepidu, Izby Skarbowej, prokuratury i Wydziału Kontroli Urzędu Wojewódzkiego. W ośmiu GS-ach (w Bogutach, Nowych Piekutach, Szczuczynie, Szumowie, Klukowie, Kobylinie Borzymach, Kolakach Kościelnych i Rajgrodzie) stwierdzono 200-procentowy wzrost wynagrodzeń nie potwierdzony zwiększoną wydajnością pracy. Wymierzono kary 40 pracownikom piekarń; dwóch zlewniarzy (w mleczarniach w Małym Płocku i Szczodrachach) zwolniono w trybie natychmiastowym.

CZŁOWIEK Z GŁOWĄ
GRA
W «KONTAKTOWĄ»

zdanie tygodnia

— Nie może być bogatych i gospodarnych obywateli bez możliwości bezpośredniego ich dostępu do środków produkcji i gospodarowania na rachunek i ryzyko własne.

Prof. Klemens Ratajczyk
ekonomista

myśl z atestem

„Żyjesz jeden raz, ale jeśli pracujesz, ten jeden raz ci zupełnie wystarczy.”

Spencer Tracy
aktor amerykański

zdarzenia



Kto powinien dbać o porządek na wiejskich przystankach autobusowych? Problem ten próbowali rozwiązać Jadwiga i Szczepan Ogonowscy z Wyszomierza (gmina Szumowo). Autobusy zatrzymywały się przed ich posesją przez dobrych paręnaście lat. Dopóki siły jej dopisywały, pani Jadwiga bez szemrania sprzątała, zgodnie z paragrafem 10 pkt. 3 rozporządzenia Rady Ministrów: „chodnik wzdłuż nieruchomości i połowę szerokości jezdni”. Wiosną 1986 roku przyjechała do Wyszomierza ekipa drogowa latać dziury w asfalcie. Najwięcej dziur było oczywiście na przystanku. Drogowcy zażądali od Ogonowskich oczyszczenia przelomów z brudu i piachu. Ogonowscy odmówili. Po interwencji pana Szczepana w Urzędzie Gminy, województwie, redakcji „Prawa i Życia” oraz Ministerstwie Komunikacji okazało się, że czyszczenie dziur należy do ludzi w pomarańczowych kamizelkach.

ambaras z przystankiem

Drogowcy naprawili asfalt, ale zostawili sterty piachu i śmieci przy krawężniku wzdłuż posesji Ogonowskich; akurat tam, gdzie zatrzymywał się autobus. Czy dla dwojga starych, schorowanych ludzi usunięcie śmieci było zadaniem ponad ich siły? Ogonowscy twierdzą, że tak. Śmieci leżały do następnej wiosny. I stało się. W kwietniu 1987 roku komisja sprawdzająca porządek ukarała ich mandatem. Ogonowscy oświadczyli, że nie zapłacą; z Ministerstwa Komunikacji otrzymali czarno na białym: „oczyszczanie przystanków komunikacyjnych ze śmieci, odpadków, śniegu i lodu należy do przedsiębiorstw komunikacyjnych”. Kontrolerzy puścili mimo uszu ten argument. Wkrótce przyszło zawiadomienie z Kolegium do spraw Wykroczeń w Zambrowie: kara zaoczna — 3000 zł. Pani Jadwiga odwołała się do Łomży. Po powtórnym rozpatrzeniu sprawy w Zambrowie podwyższono karę do 4000. Okazuje się bowiem, że „przy posesji Obywatela brak jest zatoki autobusowej, jak również zadaszanej przystanku, który stanowiłby własność Urzędu również zadaszonego przystanku, jest trwałym urządzeniem [...]”.

Rozgoryczeni Ogonowscy sięgnęli szczytu. Mimo że ich posesja zawsze wyróżniała się w Wyszomierzu wzorowym utrzymaniem, zapłacili mandat za bałagan! Pani Jadwiga dała kilka razy upust swej frustracji w rozmowie z naczelnikiem i komendantem milicji. W odpowiedzi usłyszała riposty nie licujące ani z jej płcią, ani z wiekiem.

By przeciąć sprawę, dwa miesiące temu sołtys w asyście milicji zabrał słupek przystanku sprzed posesji Ogonowskich i umieścił go kilkadziesiąt metrów dalej. Ogonowscy zaparli się i nadal nie sprzątają „zaległych” śmieci. Tegoroczna kontrola przysięgnęła oko i obeszło się bez mandatu.

Urząd Gminy w Szumowie i Wydział Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego udają, że nie ma problemu. Do następnego konfliktu. Może Wojewódzka Rada Narodowa uściśli rozporządzenie Rady Ministrów z września 1980 roku, tak dowolnie interpretowane na niekorzyść „właścicieli” przystanków?

A Ogonowskim należa się co naj-

O pielęgniarstwie dawniej i dziś — z Zofią Górską, dyrektorką Medycznego Studium Zawodowego w Kolnie — rozmawia Maria Kaczyńska.

MARIA KACZYŃSKA: — Z okazji jubileuszu 15-lecia Pani szkoła otrzymała imię Zofii Szlenkierówny, wybitnej postaci w dziejach polskiego pielęgniarstwa. Do jakich tradycji nawiązujemy?

ZOFIA GÓRSKA: — Zofia Szlenkierówna była jedną z pionerek pielęgniarstwa świeckiego w Polsce. Wykształcona w Anglii, całe swoje życie i majątek (pochodziła z arystokratycznego rodu) poświęciła idei, którą zawierała w maksymie: „Czyn — nie łza”.

— Jak to rozumieć?

— Najprościej: nadrzędną wartością w życiu każdego człowieka powinna być służba bliźnim, a nie egoistyczne rozczulanie się nad sobą. Ta idea przyświecała dziełu Szlenkierówny. Jak wiadomo, z własnych środków ufundowała ona szpital i pierwszą w Warszawie szkołę pielęgniarstwa. Dziś czerpiemy z jej biografii moralną siłę do przeciwstawiania się dehumanizacji naszego zawodu.

— Co mu zagraża?

— Materializacja życia. Pielęgniarstwo było dawniej powołaniem. Zajmowały się nim siostry zakonne, które całkowicie poświęcały się służbie chorym. Współczesne pielęgniarki — oprócz pracy mają jeszcze prywatne życie, często bardzo trudne. Czasem brakuje im siły, by pogodzić te dwie sprawy. Dlatego moralne oparcie w dorobku takich ludzi, jak Szlenkierówna, jest dla nas bardzo ważne.

— Czyżby dziewczęta, które trafiają do Pani szkoły, nie szły za głosem powołania?

— Byłoby naiwnością z naszej strony wierzyć ich zapewnieniom, że zawód pielęgniarki jest marze-



„CZYN — NIE ŁZA”

niem ich życia. Trafiają do nas dziewczęta z różnych środowisk, o zróżnicowanym poziomie wykształcenia ogólnego; nierzadko ich decyzja jest przypadkowa. Zadaniem szkoły jest „zrobić” z nich fachowe pielęgniarki.

— To znaczy jakie?

— Przede wszystkim otwarte na problemy innych ludzi, wrażliwe, potrafiące współczuć; nie poddające się rutynie i zobojętnieniu w codziennym obcowaniu z chorymi; fachowo posługujące się sprzętem medycznym.

— Czy zadowolona jest Pani z dotychczasowych osiągnięć szkoły?

— Moja opinia nie będzie bezstronna, gdyż ta szkoła, nie wstydząc się przyznać, jest częścią mojego ży-

cia. Byłam piętnaście lat temu (wspólnie z koleżanką Elżbietą Lipińską, kierowniczą szkolenia) przy jej narodzinach, a od dziesięciu lat pełnię funkcję dyrektorki. Wydaje mi się, że osiągamy niezłe rezultaty. Nasze absolwentki, a jest ich już 427, cieszą się dobrą opinią. Kilka pracuje za granicą; nostryfikowały dyplomy. Oprócz kształcenia czysto fachowego, medycznego, kładziemy nacisk na podnoszenie kultury ogólnej; uczymy owego otwarcia na problemy drugiego człowieka, bez którego, w moim przekonaniu, w ogóle nie można wykonywać tego zawodu. Wiedza — to według mnie rzecz nabyta. Zauważyłam, że te dziewczęta, które mają gorsze oceny w czasie nauki u nas, po rozpoczęciu pracy w szpitalu szybko uzupełniają swoje umiejętności „techniczne”. Jeśli uda nam się „otworzyć” je, rozbudzić w nich serdeczność i ciepło — są najlepszymi pielęgniarkami, najbar-

dziej lubianymi przez chorych. Natomiast nasze prymuski w pracy są bardziej „urzędowe”, oschłe.

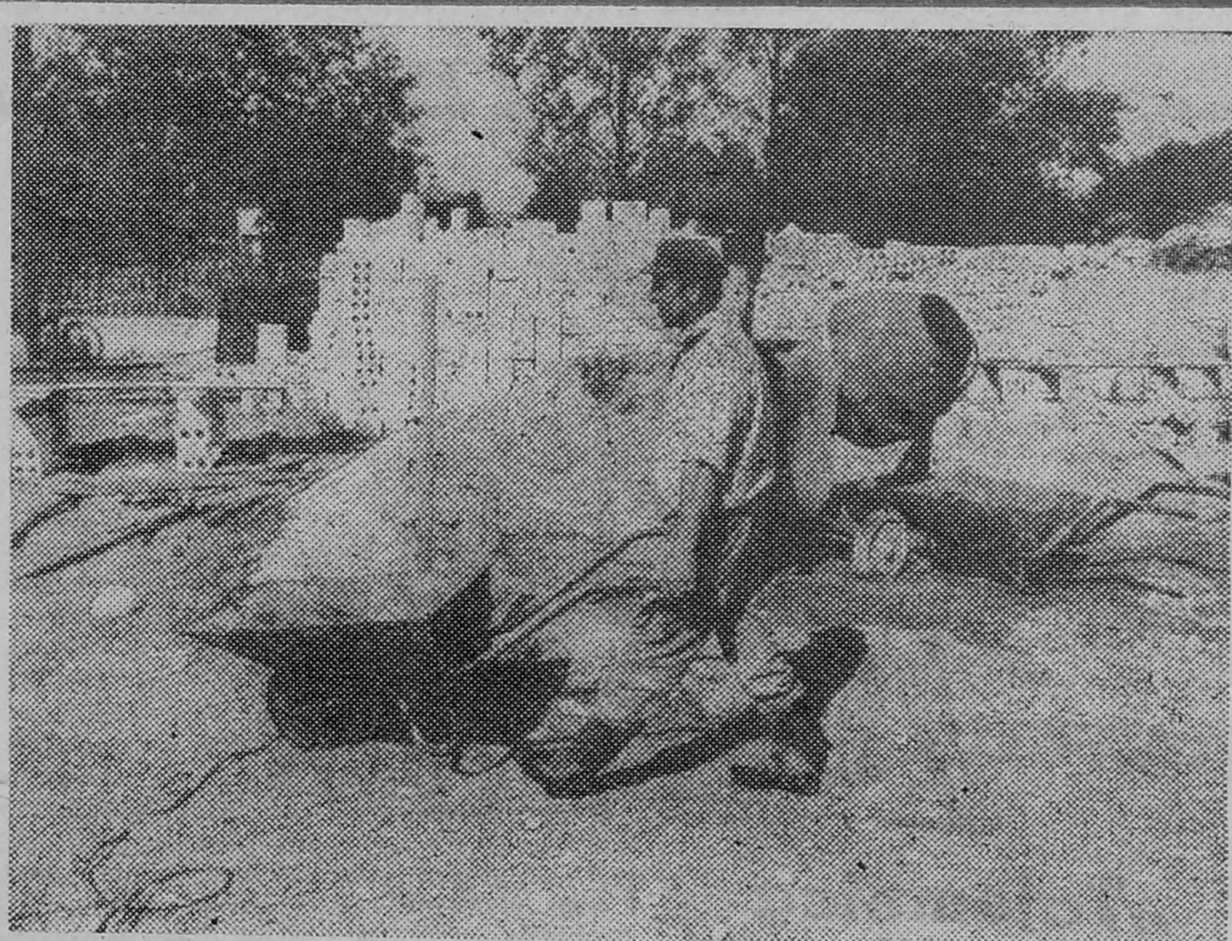
— Czy często dziewczęta rezygnują ze szkoły i zawodu?

— Jest po kilka takich przypadków w każdym roczniku. Rezygnują przeważnie na pierwszym semestrze i po pierwszej praktyce w szpitalu. Ta praktyka to „próba ognia”, test na akceptację siebie w zawodzie.

— Czy macie kłopoty z naborem do szkoły?

— Nie. Mimo że nie ukrywamy przed kandydatkami trudnych stron zawodu i marnych zarobków, co roku mamy komplet na pierwszym semestrze.

— Dziękuję za rozmowę.



WRESZCIE RUSZYLI

Po czterech latach dyskusji i przemyśleń, mieszkańcy wsi Dobrylas (gm. Zbójna) przystąpili wreszcie do budowy obiektu, w którym znajdą siedziby: straż pożarna, sklep, poczta i klub kultury. Życzymy wytrwałości. (mak)

Fot. GABOR LÖRINCZY (jak i wszystkie nie podpisane zdjęcia w numerze).

z bocznych tras

➤ **NOWOSIEDLINY** (gm. Miastkowo). Nie dość, że we wsi nie ma ani szkoły, ani świetlicy czy sklepu, to jeszcze szwankuje uliczne oświetlenie. Rejon Energetyczny obiecuje, że naprawi. Oby zdążył przed jesiennymi szarugami.

➤ **GRĄDY NOWOGRODZKIE** (gm. Nowogród). Rolnicy chcą, żeby wróciły dawne, dobre czasy, kiedy we wsi był sklep. Zaproponowali, aby otworzyć go w części pomieszczeń starej szkoły. Jeśli Gminna Spółdzielnia pomoże przy pracach remontowych, pomysł ma szansę powodzenia.

➤ **MATWICA** (gm. Nowogród). Stara, brukowana droga, przy której położona jest wieś, wymaga remontu. Prace należy podjąć szybko, dopóki mieszka jeszcze w Nowogrodzie ostatni brukarz.

➤ **KUPNINA** (gm. Nowogród). Prowadząca na pola droga stała się tak wąska, że trudno nią przejechać. Konieczne jest ponowne wytyczenie jej przez geodetów.

➤ **JANKOWO MŁODZIANKOWO** (gm. Nowogród). W maju wieś rozpoczęła budowę szkoły, a dziś gotowe są już fundamenty. Główne prace wykonuje grupa rzemieślników, pomagają rolnicy. Gospodynie dokarmiają pracujących.

➤ **MORGOWNIKI** (gm. Nowogród). Letnicy już dawno odkryli turystyczne walory tej malowniczej wsi; wielu wybudowało domki. Po opracowaniu planu zagospodarowania przestrzennego gminy działki letniskowe można będzie nabywać również w pobliskich Balikach i Serwatkach.

➤ **DOBRYLAS** (gm. Zbójna). Spółdzielnia Usług Rolniczych zamierza zlikwidować swoją bazę w Dobrymleśie. Rolnicy domagają się, aby mieszkającym w tej wsi traktorysta otrzymał komplet maszyn;

wówczas mógłby świadczyć usługi bez zbędnej biurokracji.

➤ **PIENKI** (gm. Zbójna). Niezadowoleni z jakości usług SKR-u rolnicy postanowili kupić dla potrzeb wsi opryskiwacz. Przeznaczają na ten cel fundusz wiejski, a jeśli zabraknie — dołożą z własnej kieszeni.

➤ **RUDA OSOWIECKA** (gm. Zbójna). Upadł pomysł budowy zlewni mleka; nie wyraziła na nią zgody spółdzielnia mleczarska.

➤ **STANISŁAWOWO** (gm. Zbójna). Malownicze zagubienie wsi wśród lasów jest utrapieniem jej mieszkańców. Nie ma np. bezpośredniego połączenia autobusowego ze Zbójną. Łatwiej już dostać się do Ostrołęki.

➤ **BIENDUSZKA** (gm. Zbójna). Szklwa od lat zalewa pola. Konieczna jest melioracja.

➤ **CIECIORY** (gm. Turośl). Rolnicy domagają się zmeliorowania uroczyska Kotły o powierzchni ok. 140 ha. Z badań projektantów wynika, że melioracja nie przyniosłaby tu efektów. Na szczęście dla przyrody.

➤ **CIELOSZKA** (gm. Turośl). Dzieci chciałby dojeżdżać do szkoły w Turośli autobusem relacji Pisz—Szczytno. Niestety, nie zatrzymuje się on w ich wsi. Kto pomoże małym pasażerom?

➤ **CIEMIANKA** (gm. Grabowo). Rozpoczęła się budowa drogi łączącej wieś z główną szosą. Poprawi się dzięki temu komunikacja.

➤ **KOWNACIN** (gm. Grabowo). Rejon Drogowy z Grajewy zabrał swój spychacz, wypożyczony do budowy drogi. Może poratuje rolników swoją maszyną Przedsiębiorstwo Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi? (W.K.)

Amwids i sprawy ludzkie



„BEZ PARDONU” W KOLNIE CIĄG DALSZY

„— Ponad trzydzieści lat mieszkam w lokalu, który nigdy nie był remontowany — poskarżyła się w czasie spotkania władz Kolna z czytelnikami i dziennikarzami „Kontaktów” w cyklu „Bez pardonu” Krystyna Tryniszewska. — Obecnie nowy właściciel chce przeprowadzić remont generalny i zwraca się do mnie, abym opróżniła dom. Występowałam do Urzędu o przydział innego mieszkania, dostałam trzy pisma, że je otrzymam, i na tym się skończyło.

— Właściciel faktycznie napisał podanie — wyjaśnił wówczas naczelnik, Tadeusz Siwik — żebyśmy wykwaterowali lokatorów, gdyż chce przeprowadzić remont bieżący. Niestety, przy remontach bieżących lokatorów się nie wyprowadza.”

Naczelnik skłamał! — usłyszałem oburzony głos w słuchawce w dniu, w którym ukazała się w „Kontaktach” relacja ze spotkania. — Zawsze występowałam o zgodę na remont kapitalny!

W kilka dni później Zofia J., właścicielka budynku przy placu Wolności 21 w Kolnie, już spokojnie dokumentuje historię starań o umożliwienie remontu. Pierwsze podanie do naczelnika miasta i gminy złożyła 15 grudnia 1980 roku: „Zwracam się z uprzejmą prośbą o pomoc w następującej sprawie. Kupiłam dom przy ul. Plac Wolności 21 w Kolnie [...]. Budynek ten wymaga natychmiastowego remontu kapitalnego (podkreślenie — W.T.), ponieważ może grozić zawaleniem ze względu na zmurzone stropy drewniane, ściany zawilgocone i zagrzybiałe i zniszczoną elewację. Były właściciel otrzymał nakaz z Urzędu MiG w Kolnie przeprowadzenia remontu. W związku z tym, że budynek ten podlega pod gospodarkę lokalami publicznymi proszę o umieszczenie go w planie remontów kapitalnych na 1981 rok. Jednocześnie proszę Ob. Naczelnika o pomoc w przekwaterowaniu 2 rodzin na czas trwania remontu”. Następne podania noszą daty 8 sierpnia 1983, 27 marca 1984,

naczelnik kłamie



27 lutego 1988. W każdym prośba o pomoc w wykwaterowaniu lokatorów w celu przeprowadzenia remontu kapitalnego. Ostatnie, kierowane do naczelnika Tadeusza Siwika (założmy, że o poprzednich mógł nie wiedzieć, choć zmiana na stanowiskach nie powinna stanowić „początku świata” w załatwianiu spraw urzędowych), zaczyna się właśnie od zdania: „Zwracam się z prośbą o wydanie decyzji na prze-

prowadzenie kapitalnego remontu budynku mieszkalnego położonego w Kolnie przy Placu Wolności 21 i przydział materiałów”. W dalszej części: uprzejma prośba o wykwaterowanie rodziny Krystyny Tryniszewskiej i sklepu WPHW, ostatnich lokatorów domu, z powodu których nie można przystąpić do remontu. Pismo to musiało być znane naczelnikowi choćby z tego względu, że mąż Zofii J. osobiście mu je zaniósł.

W trakcie spotkania „Bez pardonu” padł również problem likwidacji jedynej w mieście pralni. Naczelnik Tadeusz Siwik wyjaśnił wówczas publicznie: „— Rozumiem,

że dla osób starszych i lokatorów budynków, w których nie ma suszarni, a często i wody, likwidacja pralni przysporzyła kłopotów. Zarząd Spółdzielni „Kolnianka”, jej Rada Nadzorcza i Walne Zgromadzenie opowiedziały się jednak za likwidacją. Zadecydowały względy ekonomiczne. Maszyny pralnicze były już sfatygowane i należało je wymienić. To kosztuje. Tymczasem z wycieńczenia wynikało, że w pralni

średnio pierze się 4 kg białizny”.

Po przeczytaniu słów naczelnika napisał do nas Mieczysław S. Okazuje się, że interwencje w sprawie pralni dotarły nawet do KC PZPR. Oczywiście nie kwestionuję, że każda firma kierować się powinna rachunkiem ekonomicznym. Wyjaśnienie naczelnika niezmierzanie ciekawie przedstawia się jednak w zestawieniu z pismem Wydziału Drobnej Wytwarzalności i Usług UW w Łomży z 19 kwietnia 1988 r.:

„Ze strony Urzędu (Wojewódzkiego) podejmowane były następujące działania zmierzające do utrzymania pralni białizny białej w Kolnie: pismem Wicewojewody Łomżyńskiego z dnia 14 października 1987 roku znak DW 7611-6/87 Naczelnika Miasta i Gminy Kolno zobowiązano do osobistego zainteresowania się sprawą likwidacji zakładu pralniczego. W piśmie tym wskazano ulgi i zwolnienia podatkowe, z których Spółdzielnia mogłaby skorzystać w celu utrzymania zakładu; pismem Wicewojewody Łomżyńskiego z dnia 18 listopada 1987 roku znak DW 7611-9/87 wystąpiono do prezesa Spółdzielni Pracy „Kolnianka” w Kolnie z prośbą o utrzymanie działalności pralni. W piśmie tym sugerowano wymianę zużytego parku maszynowego, wskazując na możliwość zrefundowania przez Ministra Rynku Wewnętrznego na mocy Uchwały Nr 10 z dnia 30 stycznia w sprawie zapewnienia warunków rozwoju usług bytowych do 1990 roku kosztów poniesionych w związku z modernizacją placówek usługowej”.

„Kolnianka” z propozycją nie skorzystała. Podkreśle raz jeszcze: miała prawo kierować się własnym interesem ekonomicznym. Dziwi tylko fakt, że naczelnik, znając możliwości refundacji maszyn i ulg podatkowych przemilczał je, a przecież argument rachunku ekonomicznego, jakiego użył, w ich kontekście, wygląda znacznie inaczej.

WŁADYSŁAW TOCKI



„Tajemnica celi”

Nawiązując do artykułu „Tajemnica celi” („Kontakty” nr 2), chciałem wyjaśnić, co następuje. W tekście tym mowa jest między innymi o dwóch funkcjonariuszach MO, którzy jakoby ukradli obywatelowi RFN długopis i mapę.

Sytuacja ta wyglądała inaczej niż wynikało to z informacji, jaką uzyskali autorzy ze źródeł milicyjnych. Piątego grudnia 1984 roku o godzinie 7.30 zostałem wezwany do RUSW celem przewiezienia ekipy dochodzeniowo-sledczej do wsi Sikory Pawłowięta, gdzie obywatel RFN, aby uniknąć kolizji z funmanką, zjechał do rowu i uszkodził sobie samochód marki „Mercedes”. Sprawę tę przeprowadził pracownik SB. Przebywając na miejscu pisałem w notatniku służbowym. W pewnym momencie mój długopis odmoiwł posłuszeństwa. Widząc że Niemiec wręczył mi długopis (reklamówkę) oświadczając, że jest to prezent dla mnie. Ponieważ było zimno, Niemiec poczesował pozostałych funkcjonariuszy MO koniakiem.

W czasie zbierania różnych przedmiotów z ziemi, które w czasie kolizji „wysypały” się z samochodu, natknąłem się na atlas samochodowy. Niemiec był pochłonięty polskim i bardzo dobrze mówił po polsku. Zapytałem go po prostu, czy może mi sprzedać atlas. Oświadczył, że tak. Dawałem mu 500 złotych, ale nie chciał przyjąć pieniędzy. Wówczas zaproponowałem, że kupię trzy butelki piwa. Niemiec przystał na to i był zadowolony. Transakcja ta odbywała się w obecności pracownika SB. Wracając do Wysockiego Mazowieckiego w Sokolach kupiłem obiecane piwo i wręczyłem je Niemcowi, pozostał funkcjonariusze również zaopatrywali się w piwo, część wypili na miejscu. Po zakończonej służbie poszedłem do domu. Przebrałem się i wróciłem do Urzędu, gdzie spotkałem kolegę funkcjonariusza. Postanowiliśmy Niemca odwieźć do pociągu. Po drodze wypiliśmy wódkę, którą Niemiec kupił w „Pewexie”. Ja zrewanżowałem mu się w restauracji, wspólnie z kierowcą taxi. Pożyliśmy Niemcowi pięć tysięcy złotych, których do tej pory nie uzyskałem.

Ta „przygoda” kosztowała mnie i kolegę utratę pracy. Zrobiono mnie złodziejem, mimo że nie ukradłem. Podejrzewano mnie też, że kontakt z obywatelem RFN miał charakter szpiegowski; oczywiście nie takiego nie było. Cała ta sprawa bardzo przeżyłem. Było mi szczególnie przykro, bo do tej pory moi przełożeni nie mieli żadnych zastrzeżeń, swoją służbę wykonywałem nienagannie. W nagrodę, dwa tygodnie przed zwolnieniem z pracy, otrzymałem mieszkanie. Po „afarze z Niemcem” nikt nie próbował mnie bronić, dać mi szansę.

(imię i nazwisko znane redakcji)

Artykuł Danuty i Aleksandra Wroniszewskich pt. „Tajemnica celi” postawił mnie w nieco kłopotliwej sytuacji. Zdarzenie znalazłem dokładnie, mimo to, a może właśnie dlatego, artykuł przeczytałem uważnie i do końca.

Autorzy, widząc to z tekstu, szanując swoich czytelników. Przedstawiają problem z różnych stron, pozwalają myśleć i dostrzegać się bardzo delikatną ironię, że niektórzy — poznawszy całą prawdę i fakty (ale nie odpowiadające im) — uznają że za tym gorsze dla faktów. „A ludzie mówią” to refren niepokojący uszy jak brzęczenie muchy. Zastanawia mnie co jest przyczyną dysonansu między zakończeniem artykułu a resztą. Brak czasu, skrócenie tekstu do pojemności szpalty, czy zamierzone kompozycyjne wrzucenie kilku chwastów do pielęgnowanego ogródka. Tu właśnie zaczyna się moje zakłopotanie, bo zdaje sobie sprawę, że nie tak nie uprawdopodobnia plotki jak demotywacja, że nie się nie stało, nie potrafię. Trudno, każdemu zdarzają się potknięcia.

Po pierwsze, żaden funkcjonariusz nie został zwolniony ze służby z tego powodu, aby w oczach społeczeństwa nie „narastała podejrzliwość”, co do poczynań i morale niektórych funkcjonariuszy RUSW”. Po drugie, każdy funkcjonariusz jest oceniany indywidualnie za swoją pracę. Niestety, faktycznie zdarzają się czyny, za które funkcjonariusze są zwalniani ze służby. Nie jeden funkcjonariusz, a dwaj zostali zwolnieni. Nie za to, że ukradli obywatelowi RFN mapę i długopis, a za to, że po ukonieczonych czynnościach śledczych

przyjeźli od niego — jako wyraz jego szacunku dla nich — właśnie wspomnianą mapę i długopis. Okoliczności te zostały potraktowane jako sprzeniewierzenie się regułom służby.

Przyczyna śmierci funkcjonariusza Leszka S. była wyjaśniona skrupulatnie w ramach śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową w Wysockim Mazowieckim w okresie od dnia 18.10.1983 r. do 2.05.1984 r. Śledztwo wykazało, że w tragicznym w skutkach zdarzeniu nikt nie ponosi winy, poza samym poszkodowanym. Rodzina nie może pogodzić się ze stanem faktycznym. Swoją żal i rozgoryczenie kieruje pod adresem ludzi, którzy sobie na to nie zasłużyli, tj. funkcjonariuszy („to oni go pobili”), lekarza („bo był młody”) i prokuratora („nie udowodnił nikomu winy”).

Osiemnastego kwietnia bieżącego roku do godziny 20.30 nie przyszedł do domu trzyletni syn funkcjonariusza. Ojciec zaczął poszukiwać. Wystraszony i zapłakany odnalazł w osiedlu pod jednym z balkonów, osaczonego przez dwa bezpańskie ujadające psy. Gdy odgonił zwierzęta, dziecko powiedział: „Te psy mnie pogryzły”, pokazując okaleczone ręce i poszarpaną kurtkę. Zaprowadził więc chłopca do domu. Wziął strzelbę myśliwską (funkcjonariusz jest członkiem Polskiego Związku Łowieckiego) i wspólnie z sąsiadem najpierw usiłował złapać je, a gdy się to nie udało po odpędzeniu na skraj osiedla, zastrzelił i odwiózł do Zakładu Weterynarii z prośbą o zbadanie, czy nie są nosicielami wścieklizny. Na szczęście wynik badania był ujemny. Gdyby był inny, najprawdopodobniej zaskalby uznanie i wdzięczność wielu mieszkańców Wysockiego Mazowieckiego i na tym by się skończyło, a tak, jak pisał państwo Danuta i Aleksander Wroniszewscy, „ludzie mówią...”

Warto odpowiedzieć na pytanie, jak w takiej sytuacji zachowałby się inni rodzice, włącznie z red. Wroniszewskimi? Był to jedyny sposób na uniknięcie przez dziecko serii bardzo bolesnych, o silnym ubocznym działaniu, zastrzyków.

Każda publikacja prasowa ma zawsze jakiś sens. Motyw: coś chce osiągnąć, zyskać, czegoś dotknąć, poruszyć. Zasięg i moc oddziaływania informacji prasowej zawsze silnie wpływa na emocje społeczne. Dlatego zachodzi szczególna

potrzeba, by w postępowaniu się tym środkiem zachować większą dozę odpowiedzialności, rozważ, rozsądek i społecznej uczciwości. Wychodząc z założenia, że każdy medal ma dwie strony, ocena drugiej, nie poznanej strony medalu, według pierwszej poznanej — to częsty błąd popełniany przez niedoświadczonych i to można zawsze zrozumieć.

W przypadku artykułu „Tajemnica celi” — jej autorów nie można zaliczyć do niedoświadczonych a więc...

Kpt. mgr WIESŁAW SIENKIEWICZ
rzecznik prasowy szefa WUSW
w Łomży

telefony
w Gardlinie

Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łomży uprzejmie informuje, że tematem numer jeden telefonów są nie tylko w miejscowości Gardlin, lecz we wszystkich miejscowościach województwa. Obecnie mamy zarejestrowanych 11300 zgłoszeń na instalację stacji telefonicznych, a dysponujemy 1500 wolnymi numerami (13 proc. potrzeb).

Ograniczone dostawy reglamentowanych urządzeń i materiałów (centrale telefoniczne, wiejskie kable telefoniczne, słupy i przewody) nie pozwalają na pełne pokrycie potrzeb w zakresie instalacji nowych stacji telefonicznych. Czynimy starania w jednostce nadrzędnej o zwiększenie dostaw w oparciu o opracowany plan telefoniczacji wsi do roku 2005.

Powszechna telefonizacja miejscowości Gardlin (gm. Zambrow) nie jest przewidziana do roku 1990, w miejscowości tej są dwa telefony. Na terenie województwa mamy 19 miejscowości bez telefonu.

Wysokie koszty instalacji wiejskich stacji telefonicznych są wynikiem ich materiałochłonności, wynikają ze znacznej odległości od central telefonicznych. Zmiana proponowanych kosztów budowy, jak to miało miejsce u ob. Ireneusza Klimaszewskiego, nie wynikała ze złośliwości Urzędu Telekomunikacyjnego w Zambrowie, lecz z aktualnych warunków technicznych, które zmieniają się w wyniku dobowodowywania urządzeń i ruchu abonentów.

Inż. JANUSZ ZYCH
zastępca dyrektora WUT
w Łomży



Dwór w Kępie, bo o nim mowa, tak opisywał w 1903 roku Zygmunt Głogier: „gdzie Biebrza wpada do Narwi [...], w samych prawie widłach, leży kilkunastomorgowa wyspa piaszczysta [...]. W miejscu zwanym Kępą Giełczyńską wznosi się z wieżyczkami, naśladującymi stary styl francuski, gościnny dom państwa de Fleury”.

rezydencja uroczego Francuza

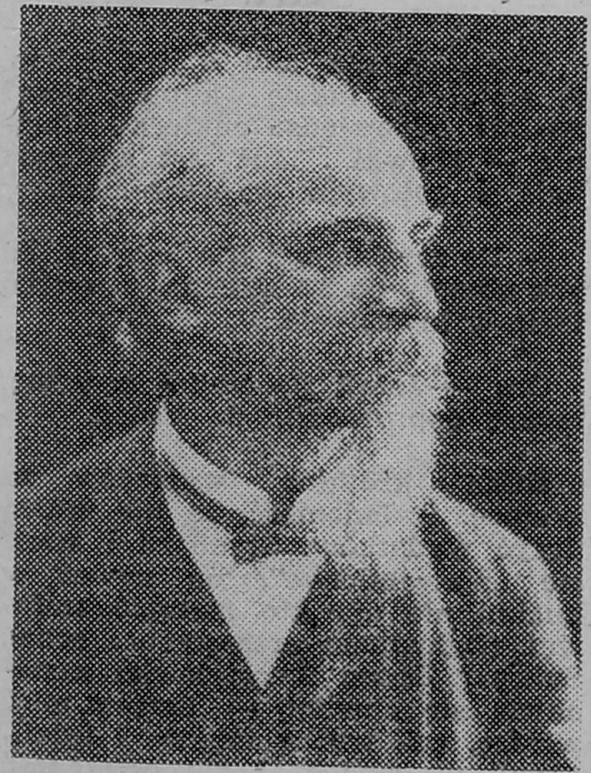
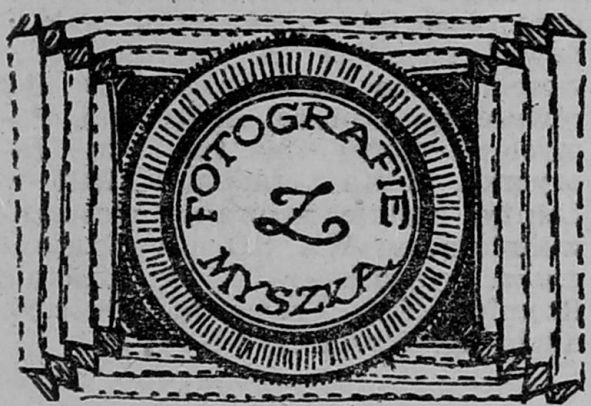
Dwór ów wzniesiony został prawdopodobnie pod koniec XVIII w. Kępa należała do rodziny Potockich, w której pojawił się młody Ludwik de Fleury, przybyłszy z Francji; pracował u Potockich jako nauczyciel ich dzieci. Uroczy Francuz zakochał się w córce swych uczniów, podobno dwukrotnie starszej od siebie. Flirt zakończył się małżeństwem; hrabia Ludwik w posagu otrzymał olbrzymią fortunę wraz z Kępą. Niedługo po ślubie owdowiał, a następnie ożenił się, tym razem z szesnastoletnią wychowanką nieboszczki — panną Jadwigą Moniuszką.

W 1884 roku w Kępie przebywała na wakacjach Maria Skłodowska ze swą siostrą Heleną. Hrabia de Fleury miał wówczas 70 lat. „Przemity starszy pan, wykształcony i ocytany, wykwinny Francuz” — skreśliła jego charakterystykę w jednym z listów Helena Skłodowska.

Hrabia de Fleury był zbieraczem „staroci archeologicznych”. Miał w Kępie małe muzeum, którym interesował się Zygmunt Głogier. W prasie rosyjskiej z tamtej epoki znaleźć można wiele jego artykułów, zawierających opis stanowisk archeologicznych w tej części Mazowsza.

Dzisiaj po Kępie nie zostało śladu. Dwór spłonął podczas I wojny światowej i nigdy nie został odbudowany.

CZESŁAW BRODZICKI



RÓD CHODZKÓW

Pochodzą z Wilenszczyzny. Ich drzewo genealogiczne sięga korzeniami XIII wieku. Nie brak wśród nich znanych i zasłużonych osób: uczonych, artystów, wojskowych, pisarzy itp. Związczą jeden przedstawiciel rodu zaznaczył się w sposób szczególny w dziejach Łomży — Tyburcjusz Chodźko, XIX-wieczny fotograf. Miał atelier we własnym domu (istniejącym do dziś przy ul. Zjazd). Niespokojny duch działacz społeczny był m.in. naczelnikiem ochotniczej straży pożarnej w Łomży — po powrocie z zesłania w Wiatce zakładał i prowadził firmy fotograficzne w Druskiennikach, Płocku, Piotrkowie, Warszawie, Łomży i na koniec — w Wilnie. Tam też zmarł w 1908 roku i pochowany został na Roscie. Do tej wspomnianej postaci powróćmy w odrębnym artykule. Na wystawie „Domowe archiwum” w muzeum łomżyńskim zgromadzono wiele pamiątek rodziny Chodźków.

BOLESŁAW DEPTUŁA

FOTOTEKA



Łódki o takim kształcie spotyka się tylko w Kanadzie, w dorzeczu Amazonki, na wybrzeżach Afryki, a w Europie — w jednym miejscu: nad Narwią. Na naszych oczach dożywają swych dni ostatnie relikty dawnego łomżyńskiego szkodnictwa.

BOLESŁAW DEPTUŁA

SŁODKIE ŻYCIE

amerykańskie dzieci

Dzieci rosną — stwierdziłam ze zgrozą, oglądając swój pierwszy siwy włos w lustrze. Trzeba pomyśleć o przyszłości. Wybrałam się z wizytą do koleżanek ze szkolnej ławy, które dziś uczą cudze dzieci. Że nie jest to łatwy kawałek chleba — wiadomo. Koleżanki nie miały czasu na wspomnienia. Uzupełniały dzienniki, wystawiały stopnie i prowadziły długie rozmowy z rodzicami. Jak to w szkole przed końcem roku.

W ogóle z rodzicami jest ciekawa sprawa. Przez cały rok szkolny nauczycielki zapraszają ich do szkoły, a oni ciągle zapracowani, nie mają czasu. Jak już któraś mama wpadnie w środku roku, rzuci tylko okiem na dziennik, wypowie sakramentalne: „Ależ on się uczy!” i znika. W czerwcu jest inaczej: przychodzą pokorni, ze łzami w oczach i determinacją na obliczu; są zdecydowani na wszystko, by wyblagać dla pociechy trójkę. „Od nowego roku wezmę się za gągatkę!” — przyrzekają poprawę, grożąc synkowi palcem. Synek pęka w kąciku ze śmiechu:

on wie, że od września będzie tak samo, jak zawsze.

Ostatnio w krajobrazie łomżyńskim pojawiła się nowa, zgodna z duchem czasu postawa rodziców. Przychodzą takie do belfra w ostrym makijażu. Zaczynają normalnie: od epitetów pod adresem dziecka („chuligan, leń, balwan”), gdy zauważają, że samokrytyka nie odnosi skutku, zmieniają metodę: „Proszę pani, jestem sama z trójką dzieci. Ciężko mi. Nie daję rady”. Belfrowi mięknie serce: „Tak, tak. Rozumiem. Ojciec porzucił rodzinę”. „Ależ on nas nie porzucił. Jest w Ameryce!” — prostuje poruszona rodzicielka. A potem cichutko dodaje: „Proszę postawić trójkę, przyniosę dobrą kawę”.

Dobrze tym belfrom, nie? Normalny człowiek ziółka pije, bo herbaty nie dowieźli. Ale moje koleżanki, które na oczy jeszcze tej obiecywanej kawy nigdy nie widziały, w tym roku postawiły sprawę ostro: jak przyniesie magnetowid, postawię tróję! Okay! Niech i polski belfer ma korzyści z Ameryki.

OSA

O ludziach i psach — z Danielem Zalewskim, sanitariuszem zwierząt ze schroniska dla psów MPGKiM w Łomży — rozmawia Maria Kaczyńska.

MARIA KACZYŃSKA: — Czy Pan wie, że ludzie Pana nie lubią?

— Po cztery w każdej; jest ich osiem.

DANIEL ZALEWSKI: — Wiem. Lepiej by było, gdyby zaczęli bar-

— A jak się robi tłok?
— Wzywam lekarza; on je usypia.

BRUDNA ROBOTA

dziej lubić swoje psy. Wtedy ja nie byłbym potrzebny.

— Dlaczego podjął się Pan tej pracy?

— Bo lubię psy.

— Ale chwytając je na osiedlach i ulicach, przyczynia się Pan do ich końca.

— To jest lepsze dla psów niż wałęsanie się.

— Ile psów może Pan zmieścić w tych klatkach?

— Wszystkie?

— Tylko te, które przebywają w schronisku powyżej dwóch tygodni. Taki jest przepis. W ciągu dwóch tygodni właściciel albo kto inny może psa odebrać.

— Czy Pan nie przywiązuje się do psów?

— Przywiązuję się. Jak mi się który pies spodoba, nie pozwalam go uśpić. Czekam, może ktoś będzie chciał go wziąć.

— Jak Pan chwytą psy?

— Jeździmy żukiem. Przeważnie

Pierwsze magnetowidy pojawiły się w Łomży w 1983 roku, wywołując sensację nie mniejszą niż ciele z dwiema głowami. Dziś „kultura wideo” podbiła nasze miasto bez reszty. Ludzie znający się na rzeczy szacują liczbę magnetowidów na 1500—2000. Każda szanująca się firma ma „na stanie” po kilka kompletów aparatury; ruch w zam-browskim „Pewexie” świadczy zaś o ambicjach prywatnych.

SZPANO

O nasyceniu rynku świadczą ceny w wypożyczalniach sprzętu wideo. Jest ich w Łomży 5. Za wypożyczenie monitora z odtwarzaczem na dobę płaci się 6—7 tys. (dla porównania: w Łodzi 9—11 tysięcy). Właściciele wypożyczalni narzekają na spadek ilości klientów. Konkurencję robią im podobno — oprócz ciągle rosnącej liczby magnetowidów w mieszkaniach prywatnych — również wypożyczalnie nie zarejestrowane.

O wiele więcej kłopotów, niż zakup magnetowidu, sprawia łomżyńnikom dostęp do filmów wideo. Jak wiadomo, w całym kraju sprawa praw autorskich filmów, powielanych na wideokasetach, nie jest uregulowana prawnie. Nie mogą więc być oficjalnie otwierane wypożyczalnie tych filmów. De facto istnieje tolerowane przez władze „podziemie” zajmujące się sprowadzaniem filmów z Zachodu, opracowywaniem ich polskiej wersji językowej oraz powielaniem. Za przegranie filmu w Warszawie płaci się 4000 zł, za wypożyczenie kasety na dwie doby — 1000 zł (oraz 14 tysięcy zł kaucji). „Kultura wideo” jest więc dobrym interesem dla tych, którzy ją napędzają.

Jakie zaś oblicze pokazuje przeciwnemu posiadaczowi magnetowidu w Łomży? Niestety, póki co konsumujemy do znużenia niewyszukane „pornusy” oraz szablonowe historyjki „demaskatorskie”. Nie liczeni w mieście kolekcjonerzy ambitniejszych obrazów strzegą swych zbiorów jak oka w głowie.

(mak)

rano, jak dzieci idą do szkoły. Wszystkie bezpańskie psy ciągną za dziećmi, bo dostają od nich jeść. Wtedy wyskakują i chwytam.

— Golymi rękami?

— Mam rękawice.

— Nie boi się Pan?

— Nie. Lubię, jak pies jest agresywny.

— Dlaczego?

— Dla mnie to urozmaicenie, atrakcja. Nie lubię potulnych psów.

— Po ile sztuk pan przywozi z każdej wyprawy?

— Od trzech do siedmiu.

— A jak przez pomyłkę schwyta Pan psa, który ma pana?

— Każdy pies powinien mieć przypięty do obroży cedel z numerem. Jak biega bez cedla, może się zdarzyć, że go schwyta.

— A skąd się biorą bezpańskie psy?

— Rolnicy przywożą je w workach i wypuszczają. Ludzie z bloków też nie są lepsi. Dbają tylko o rasowe. Jak im się kundel znudzi, to won za drzwi.

wieści grodzkie



CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Irena i Zenon zaczęli rzeczywiście od produkcji wód gazowanych w wynajętej piwnicy w Wysokim Mazowieckiem. W Łomży zjawili się dziewięć lat temu, w 1979 roku. Teraz mają duży dom, „kwitnącą” wytwórnię i drugą halę — gotową do produkcji krówek.

W przestronnych pokojach stoją swarzędzkie meble. Słońce lśni w „wysokim połysku” obitych drewnem wnętrz. Te wygodne pomieszczenia, zaprojektowane w każdym szczególe, sprawiają dziwne wrażenie niezamieszkałych.

— Bo takie jest nasze życie. Od spania do spania.

III.

A zaczęło się nie od tej piwnicy, a chyba znacznie wcześniej. Od głodu i biedy w białostockiej wsi na 1,5-hektarowym gospodarstwie. Zenon, najmłodszy z pięciorga rodzeństwa, we wszystkim pomagał ojcu. Ojciec mu imponował, bo potrafił i buty podzelać, i dom postawić, wyregulować rzekę i: — Pyskować w czasie wojny, ryzykować nie tylko swoje życie. — To ostatnie już mu mniej imponowało, bo straszne było przeżywanie lęku przed Niemcami. Z tych ojcowych talentów i hardości bogactw nie przybywało. A potem Zenon marzył tylko o jednym: by z domu uciec.

IV.

Różne bywały ucieczki. Rodzice przenieśli się do Białegostoku, więc już nie trzeba było uciekać ze wsi. Ale wcale nie było im lepiej, a gorzej. Kapusta i kartofle. Na domiar złego zostali sami. Ojciec odszedł...

Zenon chodził do szkoły. Dokąd tu uciec? Uciekł w sport. Miał dobre warunki fizyczne i jeszcze lepsze predyspozycje psychiczne: zawziętość, upór i jasność celu — wyprzedzić wszystkich. Pokazać im, że jest dobry. Bardzo dobry. Biegał, skakał w dal, wznosił. Z coraz lepszymi wynikami. Nie miał trenerów poświęcających się bez reszty. Nie miał warunków do rozwoju talentu. Ale miał wiarę w siebie.

Przygotowywał sobie „działkę” do skakania o tyczce. Dwa, trzy skoki, łopata do ręki, skopać „działkę”. Znowu dwa, trzy skoki i łopata. Piassek nie może być ubity, twardy, bo można się połamać. Ciągłe musi sam pamiętać o każdym szczególe. Wygrywa jedne zawody, drugie, dziesiąte. Wyżej. Wyżej. I kolejne mistrzostwa. Marzy mu się udział w olimpiadzie. Jest już w reprezentacji Polski, w narodowej kadrze olimpijskiej.

V.

Wszystkie wakacje spędza na obozach sportowych. Zdaje maturę; co będzie robić teraz? Oczywiście studiować. Oczywiście AWF. Uczelnia stoi otworem bez egzaminów. Kolejny obóz, kolejny start, a tu trzeba składać podanie. — Nie martw się. Zalatwimy, nawet jeżeli się spóźnisz z podaniem. — Spóźnił się. „Zalatwili”.

— No i przez kadrę wszystko się rozmyło — wspomina Sergiejewicz.

Za rok miłość przyszła, małżeństwo, urodziło się dziecko. Musiał pójść do pracy, utrzymać rodzinę.

VI.

Co umiał robić? Nie poza sportem. Ale miał przecież wiarę w siebie. Że ze wszystkim sobie poradzi. Wszystko było łatwiejsze od tamtego harowania. Tamtego trenowania. Całymi dniami, każdym mięśniem, każdym nerwem. Teraz chyba wystarczy, by był sobą. Richliwy, wścibski, wszystkiego ciekaw, łatwo nawiązujący kontakty.

Został zaopatrzeniowcem w Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego. Brakowało wszystkiego. Musiał jeździć, szukać, wyciągać spod ziemi, zabiegać, prosić, przekonywać, obiecywać. Szybko nauczył się, z kim i jak należy rozmawiać. Szyb-

ko pojął, że nie ma rzeczy niemożliwych. Że tutaj także wszystko dostają najlepsi. Musiał się więc wykazać przedsiębiorczością, sprytem, psychologicznym rozegranie sytuacji. Od tego zależał przecież byt jego rodziny. Miał poczucie odpowiedzialności.

„Wykazał się”, a jednocześnie nie zrywał ze sportem. Z tamtą atmosferą, obozami. Tu pracował, ale tam czuł się chyba bardziej „u siebie”.

Sergiejewicz patrzy, co tam napisane i złość go zalewa: — Mogę podpisać, że pan jest durni.

— Zobaczymy, jak pan pójdzie siedzieć.

Przychodzi milicja i do biurka. Chcą zabrać całą dokumentację. Jego obronę. Tego już za wiele!

— Chłopcy — do swoich ludzi — za rury!

Są już pierwsze zamówienie od budujących się chłopów, potem od państwowych przedsiębiorstw. — Całe miasteczko skanalizowałem. Sam też skręcałem rury. Uprawniał? Z marszu. Umiałem to robić, widziałem, jak ojciec sobie radził. — Już lżej. A potem znowu ogromne pieniądze. Już ma pięciu pracowników, już zakład się rozrasta.

Irena rodzi syna (dzisiaj ma 16 lat), ona na urlopie macierzyńskim, lecz też nie potrafi długo być bezczynna. Razem ze znajomymi myśli: co by tutaj? Znajomy podsuwa: są wysłużone maszyny, stoją. Można by je wyremontować. W piwnicy założyć wytwórnię. Spróbowali (zakład przydaje się tym razem na własny użytek). Otwierają wytwórnię wód gazowanych (— Od piątej rano myśliśmy butelki — wspomina Irena). Dziennie wysyłają w świat 10 000 sztuk (pracuje sześć osób). Zbyt jest; gorzej z pieniędzmi, firmy nie płacą, zwlekają. Ale to przecież chwilowe. On ma zakład wod.-kan. z dobrą marką, ona — na spółkę — wytwórnię. Można by na tym poprzestać. Jedno i drugie dochodowe. Byłby to także w jakiejś mierze sukces.

XII.

„Być widocznym człowiekiem. Nie na końcu. Z tęczką czy bez niej — skacze.” Taki jest. Przeczytał we „Współczesnej”: „Sucha studia”, o tym, że lato, a w Łomży wody sodowej na lekarstwo. Sprawdził. I już wykupuje trzy gospodarstwa — dosyć tej piwnicy w domu znajomych. Wybuduje własną wytwórnię, a najlepiej dwie pod firmą. „Parchanowicz-Sergiejewicz”. Z rozmachem.

Miał cztery miliony, drugie tyle pożyczyl z Banku (rok 1979), mówił wtedy: nie wyrobi się, splajtuję. Po co taki ogromny kredyt? Teraz mówią: wiedział, co robi.

Najpierw hala, potem dom. Po dziesięciu miesiącach już pierwsza produkcja. Idzie każda ilość. Już zatrudniają 30 osób; dziennie i do 30 000 butelek. Co roku więcej. Teraz i 70 000, a wkrótce ruszy druga linia. Jest dom z obszerną „zakładową”, świetlicą na dyskoteki czy wesela. Albo na zebrania SD. BO równolegle z pracą szedł dalej. Pomysłów więcej niż na taką fabryczkę. Zostaje radnym MRN w Łomży, zostaje wybranym wiceprzewodniczącym WK SD, organizuje z grupą „szaleńców” Spółdzielnię Rzemieślniczą „Producent”. Skoczył, udało się. Wystarczy? Nie!

XIII.

Oranżada ma powodzenie latem. A zimą? Co ludzie kupują zimą? znalazł odpowiedź: cukierki. Chętnie — krówki. Już jest następna hala z gotowym wyposażeniem.

— Ile zarabiamy? Nie liczymy. Za rok ubiegły po 3,5 miliona, wszystko idzie w inwestycje.

On: — Jeżeli się czegoś podejmę, muszę doprowadzić do końca.

Kilka krótkich wyjazdów za granicę. Świadomość, że nie muszą liczyć wydatków. Standard i swiste „niewolnictwo”, bo nawet w kuchni nie ma kto zastąpić szefowej. (Ogłoszenia przeszły bez echa). Sukces? Zenon Sergiejewicz zastanawia się chwilę: — Trzeba mieć wiedzę, cel, trochę talentu i inteligencji w genach. I nie oszczędzać się: postawa robota z przygiętym garbem.

Irena: — Moim sukcesem jest, gdy „Sergiej” nie idzie na zebranie. I jedno mam marzenie, żeby go ponownie nie wybrał.

— Na równi przyjmę wybór, jak przegraną — śmieje się on.

— Jestem domatorką. Lubię spokój.

— A ja nie.

Tak się uzupełniają. W jednym są zgodni. Co doradziliby młodym, przedsiębiorcom? — Szkoda życia na takie duże przedsięwzięcia. Teraz nie ma nas kto zastąpić. Za ciężko. Ale my tak wybraliśmy.

ALICJA NIEDŹWIECKA

BOGACI I BIEDNI (2)

SUKCES NA WODZIE

bie”. Zaproponowano mu, by został prezesem klubu „Start”.

VII.

Pieniądze. I następny awans — szef Federacji Sportu i Turystyki na trzy województwa. Duże pieniądze. On 800 zł, a kolega, kierownik katedry w Uniwersytecie Warszawskim — 480. Jest już dwoje dzieci, mieszkanie w bloku (czy to wtedy narodziło się marzenie o takim dużym domu?); mieszkanie trzeba urządzić, żona nie pracuje. Rosną potrzeby.

Treningi, ale już wie, że nie pojedzie na Olimpiadę. Musi mu wystarczyć wysoka pozycja w polskim sporcie.

VIII.

Pozostała ambicja. Już bez mierzenia wyników na przyrządach — pozostała miara bardziej bezwzględna. Wewnętrzna. Odchodzi od sportu. Zostaje zastępcą prezesa Spółdzielni Pracy „Usługa” (180 zakładów). Znowu duże pieniądze (lata 1950—1962). Mogą być jeszcze większe, na przykład przy remoncie kotłowni. Dwa, trzy razy w tygodniu pracuje fizycznie. Nie brakuje niczego. Kupują warszawę.

Żyje szeroko, bez wylizania. A gdyby tak spróbować poprowadzić własny zakład? Bez trudu zdaje odpowiednie egzaminy, otwiera zakład ślusarski. Teraz jest wreszcie sam sobie szefem, sam sobie zaopatrzeniowcem.

Czy to wtedy zaczynają się kłopoty rodzinne? On zajęty pracą — może czegoś nie ogarnął? Może coś mu się wymknęło, równie ważnego? Nie lubi o tym mówić. Uszanujmy tę prywatność.

IX.

Państwowe przedsiębiorstwa odrzucają zamówienia, on je bierze. Przyjmuje ludzi, dużo jeździ (— Jeździłem, a raczej mieszkalem w tej warszawie). Wykonują regaly do potężnej chłodni. Zakład się rozwija. Zarabiają, och, jak zarabiają. — Za duże pieniądze, jak na Polskę Ludową — śmieje się Sergiejewicz.

Lata sześćdziesiąte, nauczyciel po studiach zarabiał 1200 złotych, on wystawia fakturę na 300 000. Bo tyle zarobili ciężką pracą. Nie przeczuwał, że wokół niego coraz więcej „życiliwych”. Fakturę wystawił, czeka. Czekają bez skutku. Kontrola. Gdzie są te pieniądze? Robotnicy nie dostali wypłaty. Pewnie sobie przywłaszczył. Tłumaczy po dobroci jednemu, drugiemu. Nie nie rozumieją. Nie chcą rozumieć. Każą podpisać protokół.



Chłopcy stoją przy biurku... Milicja musi się zadowolić odpisami.

X.

Proces. Miesiące denerwujących przerw między rozprawami. Sergiejewicz wie, że jest niewinny, mimo to bardzo przeżywa każde wezwanie do sądu. Sprawa ciągnie się rok, dwa, trzy. I wreszcie wydykt: całkowite uniewinnienie. Ale „życiliwi” nie dali pracować.

Ten proces przeżyli już razem z Ireną Parchanowicz (także z białostockiej wsi, soltysova córka, „ojciec niepijący”, znała pracę, ale nie znała biedy). Poznali się w Białymstoku, bo ona także chciała do miasta i już w tym mieście pracowała. Uciekli do Wysokiego Mazowieckiego. Sprzedał samochód, spłacił robotników, zabrał ze sobą głowę, ręce i Irenę. O tej głowie mówi dzisiaj, że lepsza niż komputer, jest w niej wszystko. Kilka tysięcy pozycji. — I wszystko harmonizuje.

XI.

Robi rozeznanie: w usługach wodno-kanalizacyjnych deficyt. Otwiera więc zakład instalacyjny. Rok 1970. Irena zostaje zastępcą szefa kuchni w restauracji. Mieszkają w wynajętym lokum.



GABRIELA SZCZESNA: — Kieruje Pani m.in. szkołą podstawową, która jak inne ma swój numer, lecz jako jedyna w mieście w swojej nazwie także przymiotnik. Co to znaczy „specjalna”?

ALINA CICHOCKA: — Przeznaczona dla dzieci mających trudności w opanowaniu programu przewidzianego dla szkoły podstawowej, wynikających z trwałego upośledzenia umysłowego w stopniu lekkim (i tacy uczniowie u nas przeważają), ale też w stopniu umiarkowanym i znacznym. Jeśli dodam, że temu nieszczęśliwemu towarzyszą zwykle tzw. schorzenia sprzężone (najczęściej epilepsja), to być może łatwo będzie wyobrazić sobie na czym, oprócz innego programu nauczania, polega istota tej „specjalności”.

— Powiedziała Pani „być może”. Czy to znaczy, że potoczne wyobrażenie o „osemce” ani trochę, od początku istnienia szkoły, się nie zmieniło?

— Jeśli ktoś przekona mnie, że już dzisiaj mogą spokojnie na tablicy z nazwą szkoły dopisać ten przymiotnik „specjalna” i rozdać naszym dzieciom tarcze, by nosiły je bez narażenia na upokorzenie, uwierzę, że się zmieniło. Na razie nie mam pod tym względem żadnych złudzeń: bliżej nam do głębokiego średniowiecza niż XXI wieku. Wiedza o problemach rewalidacji, często nawet wśród uważających się za „światłych”, jest po prostu zenująca.

— Czy ma Pani tu także na myśli niedoszłych nauczycieli, których odprawia Pani z kwitkiem?

— Między innymi. Jeżeli przychodzi do mnie kandydat do pracy (często bez wymaganych kwalifikacji) i mówi, że „z takimi dziećmi to żaden problem, bo i tak niczego się nie nauczą”, nie ma czego u mnie szukać. Przecież właśnie od tego jesteśmy, żeby nauczyć je nie tylko podręcznikowego programu, ale także życia, w dostownym tego słowa znaczeniu.

— Kadra nauczycielska w „osemce” to prawie w 100 proc. ludzie z wyższym wykształceniem specjalistycznym (głównie po pedagogice specjalnej), więc może Pani przebiegać. A może innych wabi ten fantastyczny dodatek za uciążliwą pracę w Waszej szkole?

— Z dyplomu nie wynika, czy nauczyciel nie brzydzi się wycierać nosy, szorować zawieszonych główek, nie wstydzi się trzymać wilgotną rękę w swojej, idąc z klasą przez miasto. A co do dodatku, nie jest bająński, jak wiele osób sądzi. Te 20 proc. to tylko rekompensata za wysiłek, którego pieniędzmi zmierzyć się nie da.

— Czym program nauczania w szkole specjalnej różni się od tego w pozostałych podstawówkach?

— Przede wszystkim brakiem przedmiotów wymagających abstrakcyjnego myślenia (fizyka, chemia), bo jest to dla naszych dzieci próg nie do pokonania. Mamy za to dużo zajęć praktycznych. Inaczej wygląda też system indywidualnej pracy z uczniem. Reedukacja oznacza u nas przede wszystkim nauczanie umiejętności pisania, czytania i liczenia.

— Specyfiką szkoły specjalnej są także klasy życia, najtrudniejsze do prowadzenia.

— Zajęcia w nich wymagają wszechstronnej wiedzy o każdym uczniu, poświęcania mu należytej uwagi, bo tworzący je uczniowie (z upośledzeniem umysłowym w stopniu umiarkowanym i znacznym) skazani są na całkowitą opiekę nauczyciela. Tutaj uczą się podstawowych czynności warunkujących ludzką egzystencję: ubierania, dbania o higienę osobistą, prawidłowego spożywania posiłków. W klasach życia rozwijane są także umiejętności manualne uczniów. W tej chwili liczą one 21 osób (jedna w domu specjalnym).

— Szkoła specjalna przyjmuje ucznia na podstawie orzeczenia poradni wychowawczo-zawodowej. Niezadki to przypadek, gdy rodzice lekceważą opinię specjalistów i kierując się fałszywie pojętym wstydem czy ambicją, zmuszają dziecko do nauki w zwykłej szkole podstawowej. Znam fakt, gdy po jej ukończeniu nie umiało się nawet podpisać...

— ...a potem przychodzi do mnie zrozpaczona matka i błaga o przyjęcie go do naszej szkoły zawodowej. Stajemy wtedy przed dylematem: konflikt z przepisami czy dobro dziecka. Niestety, z rodzicami często więcej kłopotów niż z dziećmi. Albo są zaślepieni macierzyńską miłością i nie dostrzegają w porę kalectwa dziecka lub wmawiają so-

O innej szkole, jej kłopotach i nadziejach — z Aliną Cichocką, dyrektorką Zespołu Szkół Specjalnych w Łomży — rozmawia Gabriela Szczesna.

KLASY ŻYCIA



bie, że tak nie jest, albo zupełnie są na nie obojętni.

— Właśnie, jak scharakteryzowałaby Pani środowisko rodzinne Waszych uczniów?

— Większość z nich (aż 42 z 85) pochodzi z rodzin, mówiąc językiem resocjalizacji, niewydolnych wychowawczo: alkoholików, wielodzietnych, gdzie często sami rodzice są upośledzeni umysłowo; rodzin zaniedbanych pod każdym względem. Dla wielu uczniów posiłek w naszej stołówce jest jedynym w ciągu doby, a o kanapkę nawet nie marzą. Opłaty za dożywianie wyegzekwować się nie da, a gdy kupujemy dziecku buty, zakłada je od razu w sklepie, żeby matka nie mogła ich sprzedać.

— Pytanie o współpracę szkoły z takimi rodzinami nie ma więc chyba sensu?

— Natomiast zawsze możemy polegać na rodzicach obdarzających swoje upośledzone dziecko zdrową miłością. Postęp w rewalidacji możliwy jest tylko wtedy, gdy akceptuje się dziecko w pełni w najbliższym mu środowisku: domu i szkole. Bowiem my zapewniamy

im opiekę do 15.30, a co potem? Odpowiedź przynosi życie, gdy np. starsi namawiają nasze dzieci do kradzieży, bo na „takiego” łatwo można zwalić całą winę, wszak i tak nikt mu nie uwierzy. Czy sami zdołamy je przed tym uchronić? Za to myślę, że uchronimy je przed opinią pasożytów społecznych, bo nie pójdą od nas w świat bez wyuczonego zawodu.

— Wasza specjalna szkoła zawodowa to konieczność, bo nikt przecież nie przyjmie do pracy nieletniego...

— ...a do tego po „osemce”. Szkoda, że jeszcze tak niewielu ludzi wie, jak dobrzy są nasi absolwenci fachowcami. Nie muszą umieć ułamek, byleby ścianę postawili prosto, a o to się nie obawiam. Zarówno murarze, jak i nasi ogrodnicy terenów zieleni, mają taką opinię od lat, choć przyznam, że zakłady pracy nie kwapią się do ich zatrudniania. Dopiero pierwszy rok dziewczęta uczą się zawodu krawcowej. Nasze dzieci nie są więc ciężarem ani dla własnej rodziny, ani dla społeczeństwa. Bulwersuje mnie fakt, że niejedyn alkoholik doczeka się renty ze względu na stan zdrowia, zaś naszym dzieciom po u-

kończeniu 16 lat (tym z klas życia także) komisja do spraw inwalidztwa przyznaje zwykle II grupę, co jest równoznaczne z 7-tysięcznym zasiłkiem socjalnym.

— W pedagogice toczy się odwieczny spór o sens istnienia szkoły specjalnej. Pytanie o to, po której stronie Pani stoi, byłoby nietaktem, proszę więc powiedzieć, czy taki spór w ogóle jest zasadny?

— Nie. Nikt jeszcze nie wymyślił idealnego, złotego środka. A ze sporu powinno wynikać jedno: uświadomienie wszem i wobec, że dzieci upośledzone umysłowo to nie są dzieci chore psychicznie i nie mogą być izolowane od społeczeństwa. To także jedna z metod rewalidacji.

— Podobnie jak pedagogizacja rodziców, tyle że przychodzi ją Wam prowadzić z tymi, którzy i tak rozumieją swoje dziecko i otaczają je troskliwą opieką.

— To prawda, że nasze uwagi zwykle nie docierają do tych rodziców, do których przede wszystkim powinny trafić. W programie pedagogizacji oprócz propozycji metod wychowawczych, chodzi też o uświadomienie, że dziecko musi być zaakceptowane takim, jakie jest. że ono także potrafi się czegoś nauczyć. Wszelkie szkolne uroczystości są tego najlepszym dowodem, nie mówiąc już o pracach plastycznych, których nie mamy powodu się wstydzić. To jasne, że z innymi szkołami nie będziemy konkurować np. w matematyce, ale życzylabym im takiego zdyscyplinowania i umiejętności zachowania się wśród ludzi, jakie prezentują nasze dzieci.

— Ogromną rolę w procesie rewalidacji odgrywa system motywacyjny. Na czym polega on w Waszej placówce?

— Jest bardzo prosty: maksimum nagród, minimum kar, a całość sprowadza się do jednego — dowartościowania dziecka, czyli rekompensaty psychicznej. Po prostu celem systemu jest uświadomienie dziecku upośledzonemu umysłowo, że jest potrzebne.

— Specjalna placówka ma specjalne kłopoty. Jak Pani sobie z nimi radzi?

— Dzięki życzliwym nam ludziom, zakładom pracy. Zawsze możemy liczyć na Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, Spółdzielnię Inwalidów „Razem”, Dom Środowisk Twórczych, organizujący nam imprezy muzyczne. Ostatnio za pieniądze przekazane na nasz apel przez nieliczne, niestety, zakłady pracy po raz pierwszy w życiu nasze dzieci pojechały na wycieczkę nad morze. Nasze kłopoty wynikają także z naszej bezradności. Marzy nam się taka specjalna szkoła zawodowa, w której nasi absolwenci mogliby wybierać zawód, jaki chcą, a nie taki, jaki muszą. Chciałabym także, żeby zakłady pracy, fundując książeczki mieszkaniowe wychowankom domów dziecka, pomyślały też o naszych. Co prawda mają one rodziców, ale...

— Co więc przyciąga do pracy w placówce specjalnej?

— Świadomość, że jak kropla draży skałę, tak nasza praca z dzieckiem upośledzonym umysłowo pozostawia jakiś ślad w jego psychice, przygotowując je do życia. Zapłatą za nasz trud są reakcje dla innych nauczycieli oczywiste: to że dziecko dba o czystość, że potrafi z sensem odpowiedzieć na zadane pytanie, choćby nawet był to jeden wyraz.

— Czy nie żałuje Pani swojej decyzji sprzed ośmiu lat?

— Nie. Nawet mimo kłopotów, których wtedy nie umiałam przewidzieć. Dzisiaj nie wyobrażam już sobie pracy w zwykłej szkole podstawowej. Jeszcze tutaj mam wiele do zrobienia.

— A to najważniejsze?

— Jest bardziej chyba w sferze marzeń niż realiów. Marzę, żebyśmy nigdy nie musieli ukrywać (jak robimy to dzisiaj) przed uczestnikami obozów, rajdów, wycieczek, że biorą w nich udział także nasze dzieci; żeby nikt nigdy nie pokazywał ich palcem nazywając „osemami” i nie wykorzystywał ich spontaniczności i zaufania; żeby każdy człowiek dał im szansę.

— Dziękuję za rozmowę.

Znany aktor, Zygmunt Kestowicz jest założycielem konta pomocy dzieciom upośledzonym umysłowo — „Dać szansę”. Przypominamy jego numer z nadzieją, że powiększy się ono także o wpłaty mieszkańców Łomżyńskiego: TPD „Dać szansę”. 1036-8686-132 NBP III OM Warszawa.



kontakty
kontaktów

powracający film

Film mego życia często kręci się przed moimi oczyma. Obrazy przesuwają się i powracają. Rok 1939, kwiecień — maj — ślub. Rok 1939, wrzesień — wojna. Rok 1942, lipiec — Niemcy aresztują męża i wtracają do więzienia w Łomży. Marzec 1943 roku — na oczach licznych mieszkańców Łomży „biedacy” z więzienia wywożeni są do obozu koncentracyjnego. Zostają z dwójgiem małych dzieci bez środków do życia. Biorę się w garść. Szyciem zarabiam na paczki dla męża i na utrzymanie dzieci. Nocy z czternastego na piętnastego lipca 1943 roku nie zapomnę nigdy. Dzieci spały, ja siedziałam w ciemnym pokoju, bo nie mogłam zasnąć. Nagle ktoś niecierpliwie zapukał do drzwi. Teś wpadł zadyszany i nerwowo wyrzucił z siebie: „Twoje nazwisko jest na jakiejś liście, którą sporządzili Niemcy. Musisz natychmiast uciekać”. Teś wziął na ręce trzyletniego Zbyszka, ja dwuletnią Lalunię, którą okryłam kołderką, i wybiegłszy z mieszkanka. Wszystko pozostawiliśmy otwarte. Uciekaliśmy na ulicę Zamiejską do mieszkanka przyrodniego brata męża. Śliśmy na skróty, pod górke. Było po deszczu i ugrzęzłam w glinie. Szamotałam się, ale musiałam zachowywać się cicho. Wkrótce uwolniła mnie z tego błota mama, która również już wiedziała o niemieckich liście i przybiegła mnie uprzedzić. Buty zostały w glinie, a ja, jak ścigane zwierzę, boso pędziłam do kryjówek. Dzieci szybko zasnęły. Siedziałam przy otwartym oknie, wyraźnie widziałam drogę prowadzącą do Piętnicy. Nad ranem tą drogą sunęły duże, kryte ciężarówkami. Widziałam żandarmów niemieckich. Czulałam, że pod tymi plandekami znajdują się nasi, których czeka coś potwornego. Wtedy wyraźnie słyszałam odgłosy jęku, płaczu i modlitwy. Zbudziłam wszystkich. Działo się ze mną coś, co trudno mi opisać. Mówiłam, płakałam, nie pomagały pocieszenia. 1. lipca, o godzinie siódmej rano, mieszkańcy Łomży szepem przekazywali sobie ostatnie wieści. O-tóż w lesie za Jeziorkiem hitlerowcy zamordowali wiele rodzin łomżyńskiej inteligencji — dorosłych, dzieci, a nawet niemowlęta. Wtedy dowiedziałam się również, że najmłodszy brat męża (Stefan) miał mnie ostrzec. Takie ostrzeżenia otrzymało jeszcze kilka rodzin. Komu wówczas udało się ukryć, tego już nikt nie szukał. Na razie byliśmy ocaleni. Ale nie potrafiłam cieszyć się z tego, nie mogłam. Wszystkich, którzy zginęli, znałam bardzo dobrze; pani Komornicka spodziewała się czwartego dziecka; chyba nikt nie spodziewał się tego najgorszego. Mój syn, Zbyszek, tego dnia z wielką ciekawością słuchał tego, o czym mówili starsi. O nie nie pytał, był spokojny, a ja w jego twarzy zobaczyłam powagę dorosłego człowieka.

HALINA KAMIONOWSKA
Łomża

bez taryfy ulgowej

Zawarte porozumienie w sprawie „zielonych płuc Polski” napawa otuchą. Jest szansa, że ostatni fragment nieskażonej ziemi zostanie ocalony. Chociaż tu i ówdzie podnoszą się głosy dezaprobaty dla tych zamierzeń, należy żywić nadzieję, że zwycięży zdrowy rozsądek. Ale od zaraz ratujemy to, co jeszcze jest do uratowania. Nie można w dalszym ciągu zaśmieszać przydrożnych rowów i okolicznych lasów. Trzeba definitywnie zakończyć sprawę wiejskich wysypisk śmieci, a tych, którzy będą zanieczyszczać lasy, trzeba po prostu karać. I to bez żadnych taryf ulgowych. Może wtedy las będzie lasem, a nie śmietnikiem; rzeka rzeką, a nie ściekiem.

KAROL F. WITKA
Łomża

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

przed upadkiem. Na dodatek mniejszość narodowa stanowiła tu większość i po to, żeby w polskim mieście burmistrzem mógł zostać Polak, trzeba było użyć wybiegu włączenia w granice miasta trzech wsi.

Mimo częstej rozbieżności interesów i wzajemnej niechęci, nie doszło w Jedwabnem do żadnych gwałtownych zajęć czy manifestacji wrogości. Dopiero wojna wyjąłła ludzkie dusze i pochłonięła dwie trzecie mieszkańców. „Problem żydowski” został „rozwiązany” na miesiąc przed wprowadzeniem w Jedwabnem cywilnej administracji. Dziś świadczy o tym napis na pamiątkowym kamieniu, stojącym naprzeciw starego, żałobnego leszczyna kirkutu: „Miejsce kaźni ludności żydowskiej. Gestapo i żandarmeria hitlerowska spaliła żywcem 1600 osób 10 lipca 1941 r.”

O JEDWABIENSKIM HOLOCAUSTIE pozostały także pisemne relacje oraz wspomnienia świadków. Wspomnienia kontrowersyjne: jedne zabarwione poczuciem współwiny, inne — ogromnej krzywdy, czy — jak w przypadku relacji Szmul'a Watersztejna, spisanej 5 kwietnia 1945 r. — pełne oskarżeń wobec Polaków.

„10 lipca 1941 r. rano przybyło do miasteczka ośmiu gestapowców, którzy odbyli naradę z przedstawicielami władz miasteczka. Na pytanie gestapowców, jakie mają zamiary w stosunku do Żydów, wszyscy jednogłośnie odpowiedzieli, że trzeba wszystkich zgładzić. Na propozycję Niemców, ażeby z każdego zawodu zostawić przy życiu jedną rodzinę żydowską, miejscowy stolarz, Bronisław S. odpowiedział: «Mamy dosyć swoich fachowców, musimy zgładzić wszystkich Żydów». Burmistrz K. i wszyscy pozostali zgodzili się z jego słowami. Postanowiono wszystkich Żydów zebrać w jedno miejsce i spalić. Do tego celu oddał S. swoją stodołę znajdującą się niedaleko miasteczka.

Po tym zebraniu rozpoczęła się rzeź. Miejscowi chuligani i uzbrojeni w siekiery, w specjalne kije nabijane gwoździami i inne narzędzia zniszczenia i tortur wypędzili wszystkich Żydów na ulice. Na pierwszą ofiary swych diabelskich instynktów wybrali 75 najmłodszych i najzdrowszych mężczyzn, którym kazali wziąć wtłoki pomnik Lenina, swego czasu postawionego przez Rosjan w centrum miasteczka. Był on niemożliwie ciężki, ale pod gradem straszliwych uderzeń musieli jednak Żydzi to zrobić. Niosąc pomnik musieli jeszcze do tego śpiewać, aż przynieśli go na wskazane miejsce. Tam zmuszono ich do wykopania dołu i wrzucenia pomnika. Po tym ci sami Żydzi zostali zakatowani na śmierć i wrzuceni do tego samego dołu [...]. Spalono brody starych Żydów, zabijano niemowlęta u piersi matek. Bito, mordowano i zmuszano do śpiewów, tańców itp. Na koniec przystąpiono do głównej akcji → do pożogi. Całe miasteczko zostało otoczone przez straż tak, że nikt nie mógł uciec, później ustawiono Żydów po czterech w szeregu, a rabina, Żyda powyżej 90 lat, i rzeźnika postawili na czele. Dano im do rąk czerwony sztandar i pędzono śpiewając do stodoły [...].

Córka Bronisława S. zastrzega się, że nie pamięta już wszystkich szczegółów zajścia sprzed 47 lat, ale jest pewna, że ojciec nie spamił się żydowską krwią, jak to sugerują niektórzy: — Był przed wojną radnym i może dlatego znalazł się na naradzie u burmistrza. Ale to, że ofiarował swoją stodołę do spalenia Żydów, jest czystą bzdurą. Tak, jakby Niemcy pytali o zgodę. Pasaowała im, bo stała niedaleko kirkutu i w bezpiecznym oddaleniu od innych zabudowań. Ja do Żydów nie miałam żadnych pretensji i sądzę, że ojciec też nie. Z żydowską rodziną czapników mieszkaliśmy przez wiele lat po sąsiedztwie bez najmniejszej kłótni. Wychowałam się z Żydziakami, bawiałam z nimi. Gdy 10 lipca Niemcy zaczęli zganiać Żydów na rynek, rzekomo do pienia trawy, przyglądaliśmy się temu z mamą i dwiema Żydówczkami-sąsiadkami z okna na poddaszu. Jedną z nich tłumaczyła nam, co Niemcy mówią do zebranych. Że zostaną wyprowadzeni z miasta, bo w nim mieszkać nie mogą. Musieli już słyszeć o gettach, skoro karnie ustawili się w czwórki i tak zachowywali, jakby w to wierzyli. Dopiero kiedy ich skierowali na mogiłki,

zaczęli się niektórzy domyslać, że na śmierć idą. Dwa dni wcześniej spalono Żydów w Radziłowie i pewnie doszli ich o tym słuchy. Jęki i lament się wśród nich podniosły, a w mieście niepokój taki, że ludziami żadna robota nie była w głowie, tylko gadali o tym, co się stanie z Żydami. Jak zobaczyliśmy później ten czarny dym, wiedzieliśmy. Sasiadek nikt z nas nie wydał. Przeżył pogrom. Potem trafili do łomżyńskiego getta.

Faktycznie odpowiedzialni za ten czyn, jak twierdzi z przekonaniem Bronisław S., są jedynie Niemcy. Ale karę ponieśli wyłącznie Polacy. Niewinni. Sama widziała, jak młody, sprężysty gestapowiec szedł do jednego z żydowskich domów. Z. tylko się wychylił zza drzwi, już Niemiec go zauważył. „Chodź tutaj! Szukaj Żydów!”. I niby to Polak robił przeszukiwanie... Czy dziś wielu stać byłoby przed uzbrojonym Niemcem na odwagę? A tamten człowiek zmarł za to po wojnie w więzieniu.

„Aż wreszcie śmierć stała się
pospolitą rzeczą,
jadalną, jak gruby chleb
lekkostrawną,
i w usta sobie brałmym lekko
— kromkę rozkuwającą smakiem
takim codziennym.”
aż bez nazwy,
RAFAŁ WOJACZEK

TAKA BYŁA POLITYKA Hitlera, by zgładzić Żydów — Eugeniusz S. nie ma wątpliwości, kto był duchem sprawczym tej tragedii — i do tego doprowadził takim czy innym sposobem. Getta, obozy koncentracyjne. Jednak w Radziłowie, Wąsosz i Jedwabnem „Endlösung” nastąpił wcześniej. Hitlerowcy wykorzystali przyzwalającą niechęć i rozżalenie Polaków. Znaleźli też kilku chuliganów. Dziś, choć mamy pokój, sądy i praworządność, ile jest gwałtu, przemocy, rabunka, nawet mordów. A trzeba pamiętać, że czterdzieści parę lat temu był czas łamania praw i charakterów, czas zabijania. Jednym wystarczyło, że gestapowie powiedzieli: „Wolno zabijać”, innym, że rozkazali: „Musicie Żydów spalić!”, a ceną posłuszeństwa było życie własne i rodzin.

— Niebagatelną rolę w programie — twierdzi Jan S. — odegrał K. świeżo i przypadkowo przez Niemców wybrany na burmistrza. 10 lipca, gdy rano zamiatalem ulicę przed posesją, zagadnął mnie: „Wie pan, że dziś albo ich spalą, albo rozstrzelają?” Nie wyglądał na zatroskanego. Chwile potem powtarzał nowinę kilku innym. Słyszałem z daleka radośną wrzawę. Jakby się cieszyli na dobrą zabawę. Pojechałem w interesach do Drozdowa, a gdy wróciłem, widziałem tylko snującą się dym...

Po wyzwoleniu burmistrz K. gdzieś się zapodział i nigdy nie odnalazł. Starsze dzieci uciekły do Warszawy, żona z najmłodszym została w Jedwabnem. Na niej, zaścępczo, dokonano zemsty. Gdy leżała zamordowana na ulicy, męstwo jeszcze się przy niej kręciło, ssało jej pierś... Nikt nie szukał autorów tej zbrodni. Czyżby dlatego, że uznano ją za słusniejszą, szlachetniejszą?

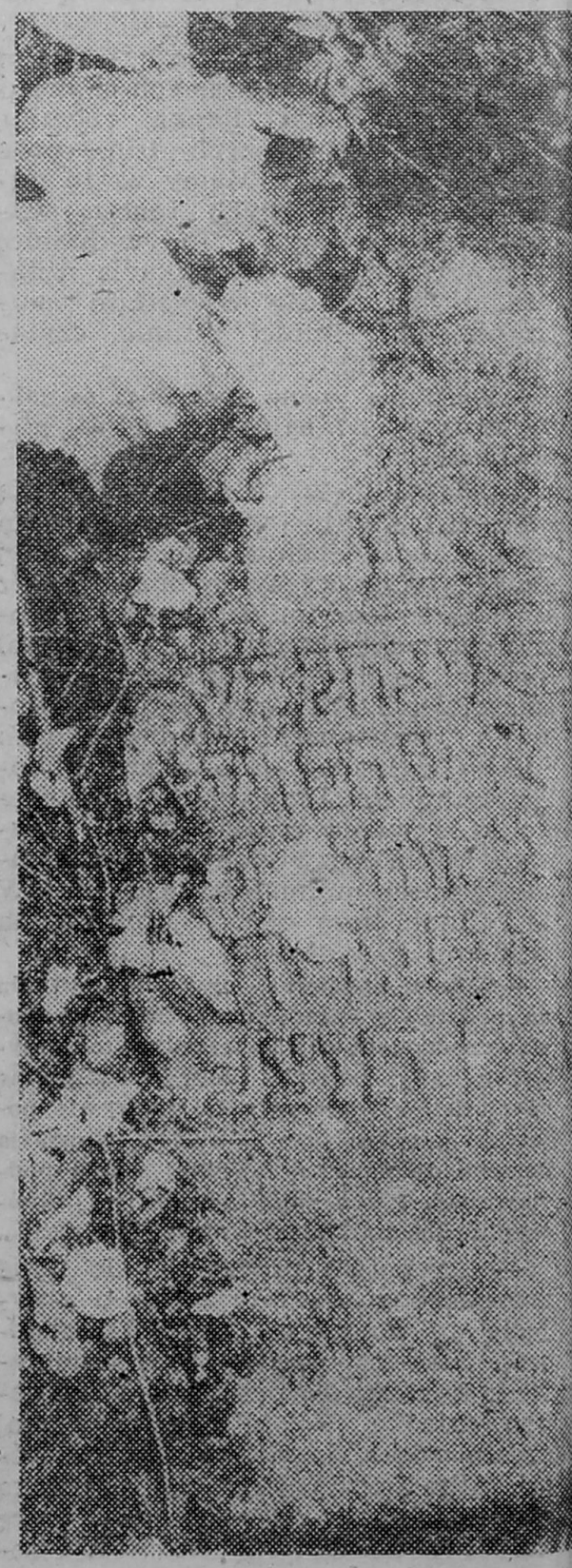
Ustalenia historyków nie pozostawiają wątpliwości co do roli, jaką w wymordowaniu „jedwabieńskich Żydów” spełnili Niemcy. Jan Karlikowski w książce „Polityka okupacyjna III Rzeszy w Okręgu Białostockim 1941–44” pisze, iż eksterminacją ludności polskiej i żydowskiej zajmowały się specjalne grupy operacyjne (Einsatzgruppen – „A”, „B”, „C” i „D”) utworzone przez Główny Urząd Bezpieczeństwa III Rzeszy. Dzieliły się one na Einsatzkommandos, a te z kolei składały się z Sonderkommandos i jeszcze mniejszych oddziałów, przydzielonych do poszczególnych armii i związków, taktycznych. Białostocka znalazła się w zasięgu działania Einsatzgruppen „B”, kierowanej przez Artura Noebego.

Zdaniem Waldemara Monkiewicza, przewodniczącego oddziału białostockiego Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, pogromu w Jedwabnem 'dokonały' wydzielone oddziały policji, tzw. komando Birknera. Było to około 200 zbirów, ludzi pozbawionych wszelkich skrupułów. Przenosili się z miejscowości do miejscowości, co dwa dni przeprowadzając nowy pogrom. Potrafili przy tym umiejętnie wyko-

ryzować nawet najdrobniejsze zarzewie narodowościowego antagonizmu. W Rajgrodzie np. znaleźli kobietę, która mówiła, iż Żydzi zamordowali jej syna. To wystarczyło, by w sercach ludzkich wzniecić płomień żądzy odwetu.

Waldemar Monkiewicz protestuje jednak, kiedy słyszy, że Żydów w Jedwabnem wymordowali Polacy; — Tak może mówić tylko ktoś, kto nie ma pojęcia o ówczesnych realiach. Był taki moment w czerwcu 1941 r., kiedy Rosjanie już się wycofali, a Niemcy jeszcze nie zdążyli nadejść. Z tego bezkrólewia korzystała miejscowa łobuzeria, dopuszczając się kradzieży i najrozmaitszych porachunków. Żeby zapobiec kompletnemu rozprzężeniu, zaczęto organizować policję. Gdy pojawili się Niemcy, część z tych ludzi zrezygnowała, ale niektórzy poszli na kolaborację. W czasie pogromu eskortowali pędzonych Żydów, choć prawdopodobnie nie wiedzieli, co się ma z nimi stać. Nie przeczę, znaleźli się i tacy, którzy znęcali się nad Żydami, ale to był margines, który istnieje w każdej społeczności. Oni zresztą też mieli swoje racje. Kiedy w 39 r. do Jedwabnego przyszli Rosjanie, dla Polaków byli zwykłymi najeźdźcami. Natomiast większość Żydów natychmiast opowiedziała się po stronie władzy radzieckiej. Nie mieli zahamowań przy zmienianiu orzekłków na gwiazdy, chętnie brali udział w mitingach. Nastroje antysemickie wzrosły też na pewno, kiedy tuż przed wkroczeniem Niemców wrócili z łomżyńskiego więzienia ludzie zadenuncjonowani przez Żydów...

RÓWNIEŻ WIELU MIESZKA-
CÓW Jedwabnego uważa, że
„biez Boży” ściągęli na sie-
bie sami Żydzi. — Byli polskimi
obywatelami — mówi Jan Czesław
S. — ale Polakami nie czuli się
nigdy. Pamiętam, jak się cieszyli,
gdy w 1920 r. Polacy przechodzili
tędy na wschód: „Nasi idą na Wil-
no!” Kiedy później Rosjanie parli
na Warszawę, głosili nowinę:
„Nasi idą!” A po „cudzie nad Wis-
łą” obstąpili mnie radośnie: „Panie
sąsiad, dalibóg, nasi wracają!” W
dwudziestolecie międzywojennym
zaczęły się narodowościowe walki.
Żydzi nabierali siły i znaczenia. Za
Sowietów normalnie dostali rogiw.
Niektórzy z nich przeczuwali, że to
gorliwe postępowanie obróci się
przeciw nim. Stara Kuropatwina
powiedziała mi kiedyś: „Moja Pesa
i Chaja się radują, ale ja znam
przepowiednie; nasza śmierć bli-
ko...” Pamiętam, jak wywozili Po-



rze-
mu.
iete,
wa-
w
nien

tuje
w
acy;
kto
rea-
weu
wy-
da-
ko-
do-
po-
za-
ja-
dzi

szli
mu
hod-
co
ce,
cali
nar-
po-
wed-
Po-
mi-
ch-
nie-
ha-
ków
t w
kie-
tuz
ró-
ro-
AN-
ze
sie-
imi
ław
sie
yli.
zili
Wil-
arli-
ne-
Vis-
nie
W
ym
nie.
Za
ów.
to
się
ina
esa
am
lis-
Po-

WYRÓŻNIENIE W TURNIEJU REPORTERÓW IM. MELCHIORA WANKOWICZA

ER
SCY

laków do transportu na Sybir; na każdej furmance siedział Żyd z karabinem. Matki, żony, dzieci kłękały przed wozami, błagały o litość, pomoc. Ostatni raz dwudziestego czerwca 41 roku. Kiedy więc przyszli Niemcy... Tych mściwych, bezwzględnych Polaków była garstka, ale to starczyło, by okryć wszystkich hańbą. Bo Niemcy stali nie tylko z automatami, ale i aparatami fotograficznymi...

Jan C. z Wizny, sam żydowskiego pochodzenia, uważa, że tłumaczenie postępowania Polaków żąda odwetu jest zasadne: — W Wiznie, po odejściu władzy radzieckiej, Polacy dokonali samosądu nad Polakami, którzy pracowali w sielsowiecie. Żydami zajęli się wyłącznie Niemcy: rozstrzeliwania, rabunki, wywożenie do gett, jak wszędzie...

Tak czy inaczej uczestnicy jedwabieńskiego pogromu zostali po wojnie rozliczeni sumiennie. Odbyla się rozprawa, zapadły surowe wyroki. Waldemar Monkiewicz mógłby o tym powiedzieć najwięcej, był bowiem w tamtym procesie oskarżycielem. Dzisiaj przyznaje, że robił to wbrew własnemu sumieniu. — Ci ludzie — mówi z naciskiem — musieli być skazani. Bez względu na stopień winy. Były to przecież czasy Jakuba Bermana i jemu podobnych...

Bronisław S., uważany przez Szmula Wąsersztejnę za polskiego prowodyrą pogromu, nie doczekał nawet sprawy sądowej.

— Naszym domowym złym duchem — wspomina jego córka — była panna Z. Wyszła ona za mąż za radzieckiego lejtnanta. Pochodziła z biedoty i to zamęcie było dla niej awansem. Pomogło jej też potem w zdobyciu zaufania u władz radzieckich. „Napuszczała” Rosjan na różnych ludzi. Jako nasza sąsiadka wiedziała, co mamy cennego. Pod jakimś pretekstem nasłala na nas rewizję. Bańki z bimbrem w kacie nie zauważyli, ale złoto spod siennika wygrzebała... Kiedy w 1945 r. Rosjanie wrócili z Polakami, Z. natychmiast znów dała znać o sobie. Nakłamała komandorowi na temat ojca. Nocą jacyś ludzie rozebrali właśnie odbudowaną na żydowskim polu stodołę, a ojca tak pobili, że z ran umarł. Skazali go bez sądu, świadków, tłumaczenia. Winni musieli się znaleźć, a hitlerowców już tu nie było.

To szukanie winnych nigdy nie było proste. Jedwabniacy najchętniej widzą ich wśród bliżej nieokreślonych „dwurósów i fornali”. Wiejscy natomiast ripostują: „To miejscowi wzięli w ich mieszkania, łożka, garnki, rozszabrowali dobytek. Jaki chłop miał interes rzucać swoje pole i chałupę?”

A jednak niektórzy porzucali. Siedemdziesięcioletnia Maria K. wskazując na jedną z pierzei rynku mówi: — Tu, gdzie kiedyś mieszkało 30 rodzin żydowskich, dziś stoją te cztery murowane wille. Jedwabniaków z korzenia zostało niewiele. Przeważnie, tak jak ja z mężem, sprowadzili się po wojnie, do opuszczonych chałup. Palenia nie widziałam, tylko mąż tajnie woził uciekinierów z pożogi. Dwa dni później pojechałam do miasteczka do matki. Ile narodu pojeżdżało się furmankami na szaber! Niemcy wcale w tym nie przeszkadzali. Nawet tym, co przy zmarłych znajdowali złoto. Gdy bili się o nie, to Niemcy tylko się śmiali: „Was czeka taki sam koniec”. Nie boję się o tym mówić, bo ja z tego spalania nie nie skorzystałam. Tylko jedną pierzynę, dwie poduszki i szafę, co mama dla mnie wzięła. A ile musiałam jeszcze pomysłu użyć, żeby to przewieźć! Mieszkaliśmy u teściowej, a ona była trochę tercjar-ka: modliła się za Żydów, rozpaczala po nich i gromy, sypała na tych, co się na ich nieszcześciu wzbogacali.

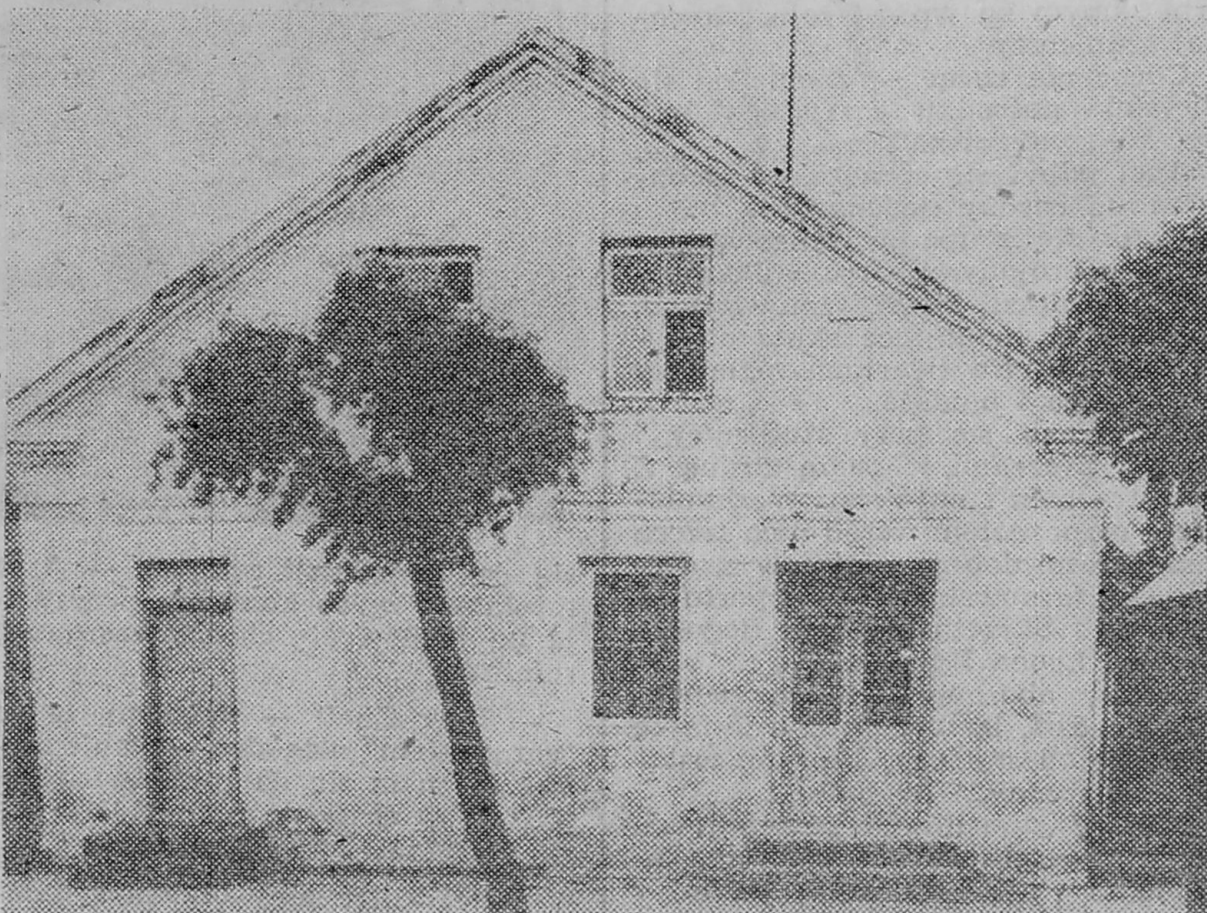
„Była potrzeba życia, była śmierci potrzeba.”

RAFAŁ WOJACZEK

W JANCZEWKU, wiosce sprawnie oddalonej od Jedwabnego w linii prostej o 5 kilometrów, wszyscy pamiętają jeszcze dziadka Karwowskiego, który wstawił się tym, że przez całą niemiecką okupację ukrywał siedmiu Żydów w przemyślnie kryjówce. Oprócz Franciszka i Józefa Karwowskich oraz ich córki Antoniny

Wyrzykowskiej nikt we wsi nie wiedział, choć kilku musiało się czegoś domyslać, spostrzegłszy, że apetyty sąsiadów bądź ich dobytku gwałtownie wzrosły. W każdym bądź razie gestapowcy, którzy któregoś dnia pojawili się we wsi, przeszukiwali zabudowania tylko tych dwóch rodzin. Pozostali chłopcy stali przed domami z podniesionymi rękami i świadomością, że jeśli Karwowscy i Wyrzykowscy kogoś ukrywają i Niemcy ich znajdą, cała wieś pójdzie z dymem. Na szczęście nie znaleźli nikogo i nawet podejrzaną rodzinę nie ucierpią. Niemniej jednak do dziś niektórzy mieszkańcy Janczewka mają kłopoty z jednoznaczną oceną: „Żydów uratowali, ale dość lekkomyślnie narazili przy tym całą wieś”. Nie wiadomo, czy któryś z sąsiadów nie był członkiem bandy, która tuż po wojnie zdrowo wykarbowwała skórę Karwowskiemu i jego córce za wojenne zasługi. Gdy malują osobowość Franciszka Karwowskiego, w ich głosach pobrzmiewa nutka nieco ironicznej pobłażliwości: — Nie był on bohaterem. Raczej człowiekiem wielkiej dobroci i pobożności. Nawet nad zwierzęciem, które miało iść pod nóż, prawie płakali. Gdy leżał półżywy po pobiciu przez partyzantów, powiedział: „Niech Bóg im przebaczy i zachowa w zdrowiu”.

Z przechowanych w Janczewku jedwabieńskich Żydów tylko jeden zdecydował się ponownie osiąść w miasteczku. Przeszedł na katolicyzm



i otrzymał chrześcijańskie imię Józef. Wrócił do swego domu i do polskiego sąsiada, Feliksa Z., przedwojennego grabarza. Józef G. nie wypominał Z., że ten brał udział w pogromie Żydów, a jego samego siłą wyciągnął z domu na plac. Przecież się uratował. Najpierw zdołał się ukryć w budynku magistratu, potem kluczyl lasami aż do Janczewka. Nie było to proste z powodu obławy i pogłoski, że Żydzi mogą w odwecie spalić miasteczko.

G. nie dopytywał się o to, w jaki sposób zginęła żona i dzieci. Nie opowiadał też sąsiadowi o latach spędzonych w norze pod oborą, o luksusie oddychania świeżym powietrzem w wyjątkowe noce, o powolnym zżywaniu się z wszami, które wygryzały w cieple żywe rany. Dokładniej jego historię znała tylko żona, Polka, która przed wojną pracowała w jego domu jako służąca.

— Mąż był bardzo pobożny — mówi dziś wdowa G. — i chyba tylko dlatego pokornie znosił różne szykany. Wciąż nocami słyszał było jakieś strzelanie, łomotanie do drzwi. Nie otwieraliśmy nigdy. Feliks Z. wyniósł się po jakimś czasie na Ziemię Odzyskaną, bo rodzina mu się powiększyła, a nie miał ani gospodarki, ani porządnego zawodu. Tam ożył. Wystawił też dzieciom dom w Elku. Przy okazji jakichś odwiedzin w rodzinnych stronach, dowiedział się o śmierci męża. Przyszedł do mnie z pretensjami, dlaczego nie powiadomiłam go o pogrzebie. Wtedy mnie wytrzymałam: „Józef by się pewnie w trumnie przewrócił, gdybym to zrobiła”. A teraz już i Feliks na cmentarzu, i mnie czas, i nikt nie będzie wspominać o dawnych krzywdach i biedach.

Zapominają oboje strony. Kuzyn Feliksa Z. ożenił się z panną żydowskiego pochodzenia...

Po 1956 r. zamieszkał także w Jedwabnem, przez nikogo nie niepokojony, Antoni Ch. ze swą żoną Heleną, z pochodzenia Żydówką. — Moja żona — twierdzi Antoni Ch. — tylko opatrności i ludzkiej dobroci zawdzięcza życie. Nawet wtedy, gdy leżała w zbożu, a Niemcy przeczesywali łan, Bóg nad nią czuwał. Jej gehenna zaczęła się 7 lipca 41 roku, gdy miasteczkowa horda uprowadziła jej ojca, wiejskiego kowala, do Radziłowa i tam go razem z innymi spalili. Po matkę i trójkę dzieci przyjechali do Kubry gestapowcy. Ale wieść ich nie wydała. Chociaż wszyscy wiedzieli, że za ukrywanie czy choćby tylko podanie Żydowi szklanki wody grozi śmierć. Chłopi urządzili fikcyjną obławę, żeby nie podpaść Niemcom, jednak zbrodniarzami czy współnikami zbrodni być nie chcieli. Wcześniej nocowali w polu, kryli się, żeby ich nie zgarnęli do pomocy przy paleniu Żydów w Radziłowie. Żona, jej matka i bracia ukrywali się u różnych ludzi, m.in. w Chrzanowie, Kubrze, Doliwach, Trzaskach. Przechowywano ich nie za pieniądze, których zresztą nie mieli, za to z narażeniem życia swojego i bliskich. Bracia żony kolejno, nieszcześliwie wpadali w ręce gestapo i po torturach byli rozstrzeliwani. Ona i matka miały więc szczęścia...

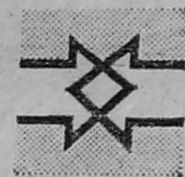
HELENA CH. MIMO UPLYWU CZASU zachowała wdzięczną pamięć: — Jakże ja mogłabym powiedzieć coś złego o narodzie polskim, skoro mnie i mojej kuzynce Polacy uratowali życie?

Po przeczytaniu relacji Szmula Wąsersztejny komentuję bez wahania: — W jedwabieńskiej stodołę spłonął dziadek i dwie siostry mamy z dziećmi i mężami. To, jak do tego doszło, znam tylko z opowiadań. Nie wierzę jednak, żeby mieszkańcy Jedwabnego byli aż tak okrutni. Przez Szmula przemawiały na pewno ból i rozpacz, dlatego nie był obiektywny. Niedawno przyjechał do Jedwabnego rabin z Kostryki, jeden z tych siedmiu Żydów, których uratował Karwowski. Najpierw modlił się na kirkucie, a potem przyszedł do nas. Dobrze pamiętał jednego z tych, o których Wąsersztejn pisał, że mordowali Żydów. „To był bardzo dobry człowiek” — powiedział. I ja mu wierzę.

Wojny zawsze degradowały Jedwabne. Z prężnego miasteczka przemysłowego w czasie rozbiorów zmieniło się po I wojnie światowej w osadę rzemieślniczo-kupiecką. Po II wojnie straciło nawet warsztaty i sklepy. Przez 40 lat nie potrafiło się dźwignąć, czy choćby wskrzesić czegoś dawnego znaczenia. Podzieliło losy innych, podobnych do tych, o których Antoni Słonimski pisał w „Elegii miasteczek żydowskich”:

„Nie ma już tych miasteczek, przeminęły cieniem i cien ten klasie się będzie między nasze słowa. Nim się zbliży bratersko i złączą od nowa dwa narody tym samym karmionym cierpieniem.”

spięcia



9
KONIAKI
1988.07.10

Odpowiedź kooperanta-monopolisty udzielona monopolistom producentowi: „W sprawie przyspieszenia dostaw prosimy o wskazanie źródeł dewizowego finansowania zakupu materiałów. Do tego czasu prosimy nie zwracać czterech litrów i nie zmuszać nas do ponoszenia całkowicie zbędnych kosztów pracy teleksu przy nadawaniu odpowiedzi do waszej firmy”. Podpisal: zastępca dyrektora, magister inżynier. Nazw obu jednostek nie podajemy tylko i wyłącznie na prośbę adresata odpowiedzi, który boi się, że obrażony kooperant mógłby się raz na zawsze wypiąć. Chciałoby się powiedzieć: o, k...! Niestety, czasy takie, że i ona woli dziś wsad... dewizowy.

Wydział Finansowy Urzędu Miejskiego w Łomży rozesał niedawno właścicielom czworonogów „Decyzje w sprawie określania wysokości podatku od posiadania psów”. Tekst „Decyzji” liczy półtorej strony maszynopisu i obwarowany jest siedmioma ustawami. Opodatkowane psy szczekają, zburokratyzowana karawana jedzie dalej.

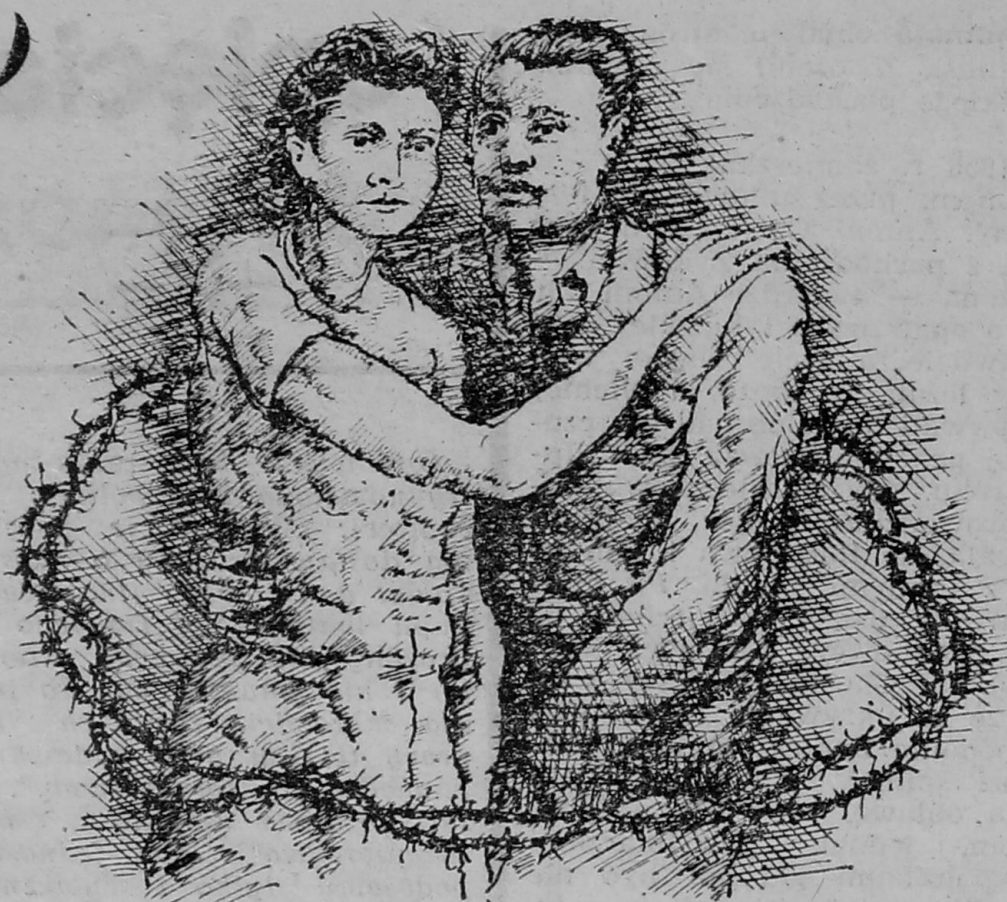
O sklepie w Kozikach (gmina Śniadowo) pisaliśmy już nie raz. Przypomnijmy: trzy lata temu mieszkańcy wsi przekazali Gminnej Spółdzielni fundusz wiejski, deklarując dalszą pomoc przy budowie sklepu. GS pieniądze wziął i obiecał niezwłocznie przystąpić do dzieła. Niestety, mimo licznych interwencji deklaracja GS pozostała wyłącznie na papierze: do dziś Spółdzielnia nie wykupiła nawet działki pod pawilon. Kozikom kozik sam się w kieszeni otwiera.

Trzy dni po wyborach pracownica biura MRN w Łomży na prośbę o podanie zwycięzców w okręgu nr 14 oświadczyła, że nic z tego, gdyż jest zapracowana, poza tym wyniki niebawem wydrukuje prasa. Po ujawnieniu, że o informację prosi właśnie „prasa”, polecila odłożyć słuchawkę, by mogła oddzwonić i sprawdzić, czy to prawda.

W kwietniu otrzymaliśmy skargę na zlewniarza w Olszynie. Państwowa Inspekcja Skupu i Przetwórstwa Artykułów Rolnych w Białymstoku, która na naszą prośbę przeprowadziła kontrolę, pracy zlewni, potwierdziła zarzuty i we wnioskach wystąpiła m.in. o zwolnienie zlewniarza. Pod listem mieszkanka Olszyny i wyjaśnieniem PISiP-u (dziękujemy za szybką odpowiedź) zamieściliśmy wówczas zdanie: „Ciekawi jesteśmy, jakie decyzje i wnioski z ustaleń Delegatury wyciągnęła OSM w Piątnicy”. Wkrótce ciekawość nasza została zaspokojona: Spółdzielnia poinformowała, że zlewniarz został zwolniony z pracy. Sprawa wydawała się definitywnie zakończona, tymczasem Czytelnik z Olszyny pisze, że owszem, zlewniarz został wyrzucony, ale zlewnię, zgodnie z wolą panów z Piątnicy, przejął jego matka, mimo iż inna kandydatka otrzymała więcej głosów dostawców. Panowie z Piątnicy wsłuchali się widocznie w panów, którzy już pół wieku temu twierdzili, że cała ta demokracja to istna wariacja.

Nagrodę 500 złotych za najlepszy sygnał tygodnia „To się nadaje do „Spięcia” otrzymuje autor informacji o czterech literach kooperacji.





Jest maj 1940 roku, dziewiąty miesiąc okupacji. Trójka przyjaciół — Jurek, Staszek i Edek — w tajemnicy ucieka z domu z zamiarem przedarcia się na Węgry, a stamtąd do walczącego na Zachodzie polskiego wojska. Mają po 19 lat. Wskutek zdrady zamiast za granicę trafiają do więzienia w Nowym Sączu, potem w Tarnowie, stąd do Oświęcimia. Jurek otrzymuje nr 213...

W listopadzie umiera Edek. Śmierć stała się już czymś tak zwyczajnym, że współwięźniów pracujących w obozowym szpitalu mówi: wykładował.

„Pewnego dnia o zmroku oczom zdumionych więźniów ukazał się niezwykle i najmniej oczekiwany obraz: majestatycznie rozłożona, świąteczna choinka. Mój wzrok — zapamiętał na całe życie Jurek Bielecki — z kolorowych żarówek przesunął się ku dołowi i zatrzymał u stóp świerka. Pod jego rozłożystymi konarami ujrzałem ciemny zwal leżących nieruchomo trupów.”

W kwietniu 1941 roku do obozu koło Hamburga wywieziony został Staszek. Wcześniej jeszcze śmierć dosięgła Tadka Dąbrowskiego, który przed aresztowaniem próbował im pomóc w ucieczce na Węgry.

Mijały straszliwe tygodnie, miesiące, lata. Jerzy Bielecki, więzień pierwszego oświęcimskiego transportu, „rolwagą” wozi trupy do krematorium, dwukrotnie przechodzi krwawą biegunkę, na którą codziennie umierają dziesiątki ludzi, parokrotnie stoi w szeregu przeznaczonym do „wybiórki” na śmierć głodową w odwet za ucieczkę więźnia, wielokrotnie przyglądać się musi publicznym egzekucjom na schwytanych uciekinierach. I wbrew „naturze” Oświęcimia — żyje.

Nadchodzi rok 1944. Niektórzy hitlerowcy zdają już sobie sprawę, że wojna jest przegrana i łagodzą swój stosunek do więźniów; wiedzą, że prawdę o Oświęcimiu zna cały świat, zapowiedź, iż zbrodniarze zostaną surowo osądzeni, jest coraz bardziej realna. W kwietniu Jerzy Bielecki znalazł się w komandzie pracującym w magazynach zbożowych...

Już po powrocie do obozu — oczom schodzących z pracy więźniów ukazał się szczególny obraz; na rozległym placu przed kuchnią obozową ustawiona została, wsparta na wysokich, drewnianych słupach, połączonych u góry długą stalową szyną — dziwna konstrukcja... Od szyny zwisało w dół dwa nacięte grube postronki zakończonych pętlami...

BRAWUROWA UCIECZKA

Nie było najmniejszych wątpliwości — to szubienica.

Błdy strach padł na obóz... Dwunastu ludzi straci tu dziś swe życie...

Blok 16a jest tak usytuowany, że sam budynek, jak i stojąca na apelu kolumna jego mieszkańców — znajduje się naprzeciw kuchni, a tym samym na wprost zainstalowanej szubienicy.

Chcąc nie chcąc — znalazłem się niejako pośrodku mającego odbyć się „wielowiska”.

Apel odbył się sprawnie i niebawem od strony jedenastego bloku ukazała się grupa skazańców, otoczona uzbrojonymi wartownikami.

Gdy podeszli bliżej, zauważyłem, że wszyscy mieli ręce skute do tyłu drutem... Na twarzach malowały się powaga i bladeść...

Zatrzymali się przy szubienicy i stanęli twarzami w naszą stronę. Z przestrachem i najwyższym zdumieniem rozpoznałem wśród nich trzech znanych mi dobrze więźniów z pierwszego tarnowskiego transportu — Janusza Skrzetuskiego, Boguska Orthę i Leona Rajzera...

Numer obozowy Janusza pamiętam do dziś, bo był on o dziesiątkę większy od numeru, którym zostałem oznaczony...

Niemcy zmusili ich następnie do wejścia na postawione taborety, zakładając pętle na szyję każdej z ofiar.

Ktoś ze stojących obok oficerów SS zaczął czytać sentencję wyroku, ale zanim tłumacz przełożył na język polski pierwsze zdanie, Janusz coś krzyknął, szarpnął się ku przodowi i — przewracając taboret — zawisł, zakolysał na konopnym sznurze...

Zdenerwowało to tak bardzo obecnych przy egzekucji esesmanów, że rzucili się do skazańców — wytrącając im spod nóg taborety.

Tragiczny był to widok, gdy patrzyłem na dwunastu młodych ludzi, z których właśnie uchodziło życie na szubienicy...

Straszny bunt rodził się w sercach niemych świadków tej zbrodni, która — jak tysiące innych — nigdy nie zostanie pomszczona...

Zarzut, jaki postawiono skazanym na śmierć ofiarom, określał, że jako członkowie komanda mierników — utrzymywali kontakty z cywilami i przygotowywali ucieczkę...

★

Nazajutrz stałem już w pierwszej piątce nowej grupy roboczej o ładnej nazwie „Magazyny zbożowe” — Getreidespeicher; właśnie sposobila się do wyjścia poza druty. Komando było nieduże — liczyło trzydziestu więźniów. Większość to młodzi ludzie w wieku gdzieś od dwudziestu do trzydziestu paru lat.

Dostrzegłem też młodego chłopca, pewnie szesnastoletniego, ale także dwóch lub trzech około pięćdziesiątki.

Wszystkich zaś, charakteryzowało jedno — wyglądali czysto i zdrowo, byli porządnie przyodziani i dobrze odżywieni. Ta ostatnia cecha spodobała mi się najbardziej...

Grupę przewodził Czechosłowak, krępej budowy ciała, średniego wzrostu, o byczym karku i zaczerwienionej twarzy. Co trzecie słowo, gdy pokazałem mu

skierowanie, to nieodłączne „sakra”. Trzymając w zębach fajkę i strojąc minę znawcy ludzi, wiercił mnie jakiś czas wzrokiem...

Jego bładniebieskie, rybnie oczy nie wyrażały żadnych odczuć. Ryż, szpecinowate włosy, czerwona jak u pijaka twarz i odstające uszy sprawiały niesympatyczne wrażenie. Mógł mieć około czterdziestki, był dość wysoki i miał charakterystyczne kablakowate nogi. Ogólnie biorąc robił wrażenie folwarcznego parobka...

— Na, du bist der Neue, ja...? Tyś ten nowy...? — zapytał.

— Jawohl, Herr Kommandoführer — odpowiedziałem, stuknąwszy obcasami.

Spodobało mu się to widzieć, bo uśmiechnął się zagadkowo i stwierdził: — Jak widzę, język niemiecki znasz... Gdzie się go wyuczyłeś?

— Etwas im Gimnasium und später hier im Lager — odpowiedziałem.

— Im Gimnasium...? — skrzywił

paru lat. Byli dość dobrze odżywieni; wyglądali rześko i zdrowo. Ubrani byli jednakowo, w granatowe sukienki ze „sztraffami” na plecach i popielate fartuszki.

Jedna z dziewczyn, ładna brunetka o smagłej cerze i czarnych jak u Cyganki oczach, spojrzawszy na mnie, uśmiechnęła się filuternie i zmrużyła oko; pewnie zauważyła mnie, jako „nowego” w komandzie. Choć byłem zszokowany niespodziewanym przyjściem dziewcząt, przeszły mnie ciarki po plecach. Pierwszy raz od czasu aresztowania uśmiechnęła się do mnie młoda kobieta.

— Teraz chodźmy na parter do Mariana, a potem pokażę ci pierwsze piętro — zaproponował Janek.

Dziesięcioosobowa grupa, podlegająca Marianowi W., o nazwie Futtermittel-speicher — magazyn pasz, była pododdziałem w naszym komandzie; w jej osobowy skład wchodził więźniowie niejako uprzywilejowani, o dłuższym stażu magazynowym, lepiej odżywieni i wykazujący dobrą kondycję fizyczną.

Z magazynu pasz przeszliśmy już we trójkę na pierwsze piętro, gdzie



się, jakby położył cytrynę. — A ja myślałem, że do komandy przysyłają mi fachowca, choćby zasranego rolnika...

— Herr Chef! — sądziłem, że go tym „szefem” ułagodzię — Panie szefie! Ja znam się na rolnictwie. Moi rodzice urodzili się na wsi.

— Jaszek! — wezwał siedzącego w małej klitce przy biurku sympatycznego, młodego więźnia, a kiedy ten podeszedł ku nam, polecił: — Zajmiesz się nowym „kamaradem” i pokażesz mu, co ma robić; od dziś pracujecie w szrajbsztubie razem.

— Tak jest, Herr Unterscharführer! — powiedział i kiwnął na mnie palcem.

— A teraz chodź, pokażę ci nasz „folwark” — zaproponował. Wyszliśmy z kantorka na teren dużego pomieszczenia magazynowego o czysto wyzamiatanej posadzce. Hala była prawie zupełnie pusta, tylko w kącie leżała sterta worków, złożonych w przymę. Na wprost, vis a vis wyjścia z kantorka znajdowało się pomieszczenie oszalowane heblowanymi deskami, pociągniętymi jasnobarzową bejcą. Miało rozmiary dość dużego pokoju.

Skreśliśmy w lewo, przechodząc przez obszerną wnękę w ścianie działowej do sąsiedniej hali magazynowej, w której pracowali już ludzie przy szufłowaniu rozległych pryzm jęczmienia i pszenicy, przesypanych przy pomocy łopat z jednej przymy na drugą. Kurzu przy tym było niemało.

— W ten sposób suszy się u nas zboże — wyjaśnił krótko Janek. — Codziennie każda przyma musi być całkowicie przesypiana.

Podeszliśmy do drzwi, prowadzących w dół, na pierwsze piętro. Janek wyciągnął rękę do klamki, ale zanim jej dotknął, drzwi otwarły się z tamtej strony i ukazały się w nich... kobiety.

Aż mnie zamurowała. Wprost nie wierzyłem własnym oczom.

— A cóż to za wycieczka? — szepnąłem do uśmiechniętego kolegi. Chwilowo nie odpowiedział.

Staliśmy na uboczu, robiąc miejsce wchodzącym. Policzyłem; było ich dziesięć. Same młode dziewczyny, poza jedną, około trzydziestu

znajdowały się „trierzy”, oczyszczające ziarno, i spore zapasy zbóż, suszonych szufłowaniem przez kilku nastu więźniów.

Wewnątrz pomieszczeń pierwszego piętra zarządził Wacek, będący tu vorarbeiterem i kierujący pracą dwunastu więźniów. Do zadań grupy, poza szufłowaniem zbóż, należało czyszczenie ziarna przy użyciu „trierów” i workowanie go do wysytki.

W grupie tej pracowali wszyscy trzej ruscy: Iwan, Aleksei i Miszka. Tutaj też w pomieszczeniu nieczynnej windy ładunkowej znajdowała się „kuchnia”, w której gospodarzył szesnastoletni Stasiu, pichąc dla całego komanda posiłek. Miał tu maszynkę elektryczną i wiadra, w których gotował to kartofle, to pęczak, czyli krupy, a niekiedy grysik albo kładzione kluski. Grupa Mariana miała na dole własną „kuchnię”.

Po godzinie takiego spaceru miałem już pełne rozeznanie odnośnie rozkładu i działalności komanda „Getreidespeicher”.

Marian zostawił nas, udając się do swoich, my zaś z Jankiem wróciliśmy na drugie piętro.

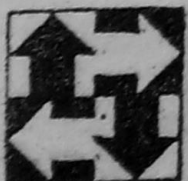
— O, widzisz? Tu reperują worki dziewczyny, które spotkaliśmy przy wejściu — wskazał na pomieszczenie oszalowane deskami. — Są pod kluczem; Titze zamyka je oboje. — Tu Janek zaczął się śmiać.

Spostrzegłszy, że nie bardzo wiem, czemu się śmieje, pośpieszył z wyjaśnieniem: — On je zamyka na trzy spusty, a my otwieramy, gdy trzeba. No tak, tak! Musimy je przecieć dożywić; od czasu do czasu trzeba porozmawiać, opowiedzieć o wydarzeniach na świecie i tak dalej...

Gdy popatrzyłem na niego z niedowierzaniem, zareagował: — Oczywiście robimy to dyskretnie; z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności, aby nie nakrył nas jakiś obcy esesman, ale jeśli chodzi o naszych szefów, to oni dobrze o tym wiedzą, ale udają, że nie mają o tych sprawach pojęcia. To babskie pomieszczenie nazywamy „kurnikiem”.

(Cdn.)

JERZY BIELECKI



Zamarzył się żonie młynek do kawy. I to w czasie, gdy o kawę trudniej niż o marcepany! Ale zrozum tu kobietę. Może chce sąsiadom zaimponować?

— I ze dwie paczki samej kawy.

— Niech cię kule biją... Spróbuj przez żonę. Ona dobrze zna dyrektora „Spółem”. Słuchaj, ale

MAREK A. JAWORSKI

czy w razie czego załatwisz drugi kożuszek?

Ręce mi opadają. Tymi naszymi łańcuszkami wkrótce będzie można kulę ziemską opasać!

ŁAŃCUSZEK

Dzwonię do znajomego dyrektora.

— Słuchaj, Staszek — mówię — masz może młynek do kawy?

Mileczenie.

— Zamurowano cię?

— Człowieku, komu dziś potrzebne młynki do kawy?

— Ale są?

— Nie ma. Ale jak trzeba, to skombinuję.

— Fajnie. Trzymaj się!

— Zaraz, zaraz, coś ty w takiej gorącej wodzie kąpany? Ja też mam sprawę do ciebie i to poważną. Moja żona chce kożuszek.

— Przecież goła nie chodzi!

— Jeszcze mi naturystyka potrzebna! Niedoczekanie! Załatw, wiesz, te tańsze, bo ja z Kamińskim drę koty.

Kamiński to szef spółdzielni kuśnierzy.

— Zenek, kożuszek damski potrzebuję.

— Dla ciebie wszystko. Ty masz chodź! Skombinuję mi glazurę z importu. Zona...

— Zona, zona. Wszystko jasne! Od glazury jest Rysiek.

— Rysiu, potrzebuję glazurę.

— Będzie, ale...

— Co ci potrzebne?

— Zona dostała asygnatę na malucha. Pogadaj z dyrektorem „Polmożbytu”, niech załatwi ten przydział od ręki. Wiesz, jak działają ceny...

Kto by nie wiedział!

Samochody to Gienek. Telefonuję dalej: — Gieniu, nie mógłbyś mi przyspieszyć malucha?

— Jak trzeba, to trzeba. Ale ja mam też do ciebie prośbę. Zona nie może żyć bez kawy. No i, wiesz, młynek do kawy nam się popsul. Załatwisz?

— Młynek na pewno...

— Ale mnie chodzi przede wszystkim o kawę!

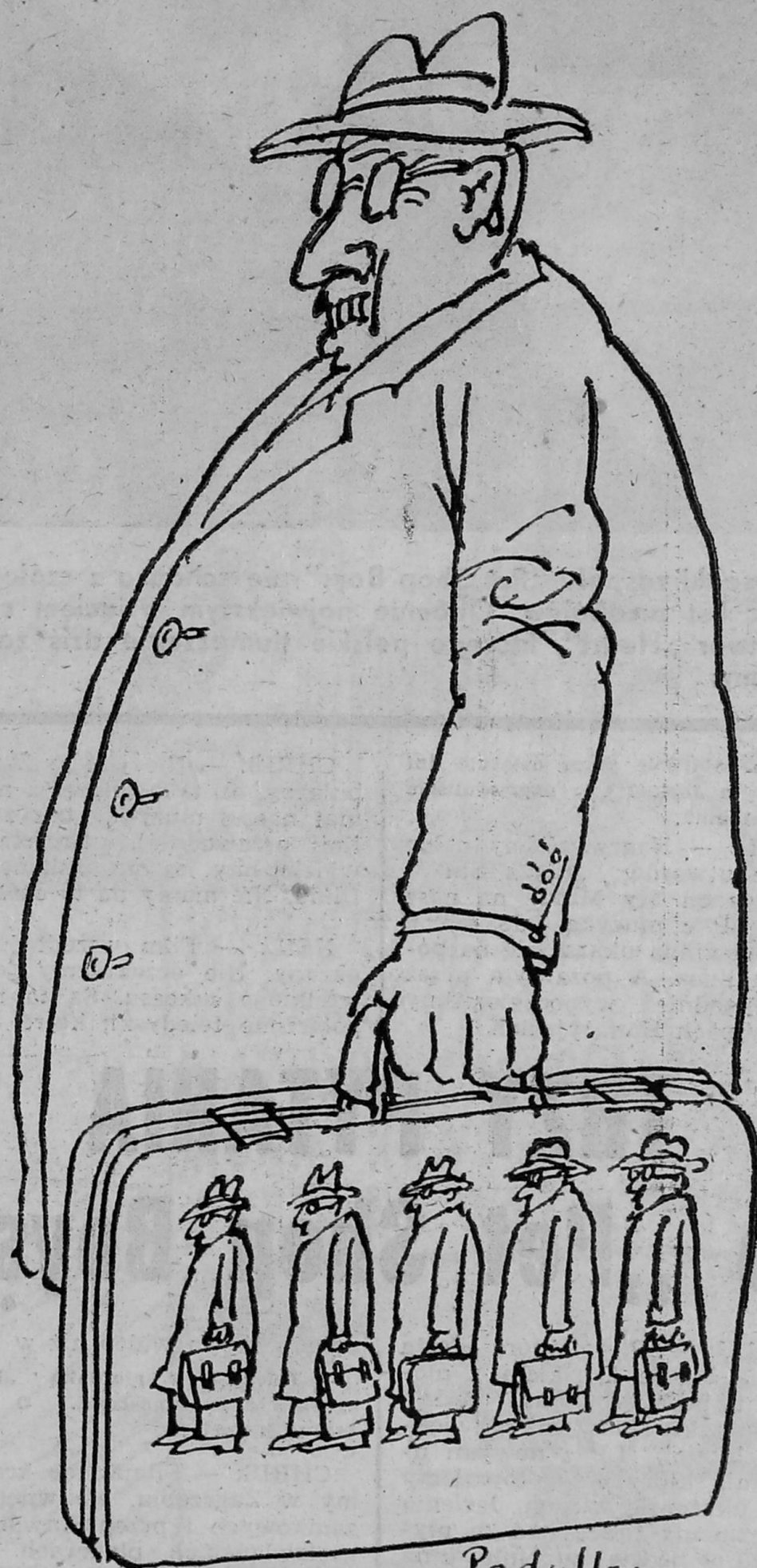
Krąg się już prawie zamyka. Znowu dzwonię do Staszka.

— Stary, masz kożuszek dla żony?

— Skarbie ty mój!

— Ciężko było. Musisz jednak wytrzasnąć drugi młynek do kawy.

— Zrobione.



Padulka

prezentacje

KAMERALNE OSTATKI

Sezon koncertowy 1987/88 w Łomży zakończył się 22 czerwca kolejnym Wtorkiem Muzycznym. Z recitale wystąpiła Wiesława Chludzińska-Stanisławska, której towarzyszyły Małgorzata Kozłowska i Beata Szeliga.

Wiesława Stanisławska 4 lata temu ukończyła Państwową Szkołę Muzyczną II stopnia w Łomży, w klasie akordeonu mgr. Stanisława Morawskiego. Obecnie kończy Filię Akademii Muzycznej w Warszawie. Wydział Instrumentalny, w klasie akordeonu prof. Włodzimierza Lecha Puchnowskiego.

W programie przeddyplomowego recitalu znalazły się utwory

dwudziestowieczne, napisane specjalnie na ten dość młody instrument. Na wstępie zabrzmiały organowe Preludium i Fuga a-moll Matrasa Zeibera, odwołujące się do stylu Jana Sebastiana Bacha. Po czym młoda akordeonistka zagrała 2 utwory programowe, ciekawe pod względem artykulacji i kolorystyki, wykonując je z dużą ekspresją. Były to „Zburzona katedra” Valclava Trojana oraz Włodimira Zolotariewa „Fierapontow monastyr”.

Następnie wykonała ilustracyjny utwór „W ZOO” Nilsa Viggo Bentzona. Tu także interesująca artykulacja, dynamika iagogika, którymi to elementami starał się kompozytor przedsta-

wić charakter tego dzieła muzycznego. Autonomiczna, najmniej ciekawa 4-częściowa „Muzyka na akordeon” Wernera Hübschmanna zakończyła I część koncertu, po której Wiesława Chludzińska-Stanisławska i Małgorzata Kozłowska (studentka III roku z klasy fletu mgr Magdaleny Puchalskiej) wykonały Sonatinę na flet i akordeon Waldemara Blocha, polskiego kompozytora współczesnego.

Wieczór muzyczny zakończyły ciekawe wariacje na temat Mozarta Hermanna Zilchera w interpretacji Wiesławy Stanisławskiej i Beaty Szeligi — skrzypce (III rok z klasy mgr Iwony Kotter).

ELŻBIETA LESZCZYŃSKA



— Ten Francuz sam to pisał? — zapytał Andrucki.

— Skądże. Pisałem ją, on mi tylko dyktował — wyjaśnił sierżant. — Powiedział, że z pisanem po polsku to u niego nie bardzo.

— Jak na Francuza, facet posługuje się całkiem niezłą polszczyzną — wtrącił Kuźmicki.

— To Polak. Słynny profesor. Urodził się we Francji, ale w Polsce jest prawie co roku. Nad Biebrzą już chyba trzeci raz siedzi. To znaczy tutaj, u nas, bo przedtem był jeszcze parę razy na Czerwonych Bagnach za Goniądzem.

— No cóż, pojedziemy chyba do tego Przerwanca.

— To nie takie proste, obywatel kapitan chyba nie z Łomży — Mielezsko bardziej stwierdził niż zapytał. — Przerwaniec to dżungla, że tak powiem. Bagna, krzewy i mamory, żadnej drogi tam nie ma, dopłynąć można tylko wodą. Dzwoniłem do rzecznej z Goniądza. Silnik mają zepsuty.

— Przecież jakoś musimy się tam dostać!

— Jak mus, to mus — sierżant westchnął ciężko. — Nie ma innej rady, trzeba porozmawiać z jakimś klusownikiem.

— □ —

— To już tutaj — powiedział sierżant Mielezsko i radiowóz zatrzymał się na skraju maleńkiej wioski, obok nowych zabudowań gospodarczych okalających starą chatę.

Andrucki wysiadł z samochodu i ze zdumieniem rozglądał się po okolicy. Czegoś takiego w życiu jeszcze nie widział. Jak okiem sięgnąć, ze wschodu na zachód i z północy na południe, rozciągała się płaska jak stół, bezkresna równina. Jedynie wieś i pola za nią położone były nieco wyżej. To rzeczywiście była dżungla, tylko zamiast drzew na żyznym bagnie rosły trawy niespotykanej wysokości.

— Amazonia, co? — zapytał sierżant z satysfakcją i jednocześnie z dumą w głosie. — No, chodźmy do Józefa. Trzeba go zażyć z małżonką, bo inaczej nic z pływania nie będzie.

Józef krzątał się akurat po podwórzu. Był mężczyzną szczupłym, żyłastym, po sześćdziestce. Twarz miał brązową od słońca i wiatru, oczka bystre i chytre bardzo.

— Uszanowanie komendantowi! — Podszedł do Mielezski z wyciągniętą ręką. — Gość w dom, Bóg w dom, powiadają. Co dobrego znowu do mnie pana sprawdza?

Sierżant uściśnął mu dłoń i powiedział: — Tym razem my nie po linii klusowania.

— Jakiego klusowania? — gospodarz zdumiał się i oburzył jednocześnie. — Czy może kto powiedzieć na mnie, że ja się kiedyś brałem za klusowanie? Zawsze wszystkim mówię: zachęcało się tobie ryby, wykup kartę wędkarską, idź z kijem nad rzekę, to może co i złapiesz. Popyta pan ludzi, komendantcie.

— Józefie, przestańcie pieprzyć — przerwał mu Mielezsko. — Jak chcecie, to zaraz w stodole poszukamy. Pewnie niejedna siatka tam się znajdzie, co?

— Siatkę każdy może posiadać — rolnik spuścił nieco z tonu. — Do grochu na ten przykład. Żeby chronić przed kurami.

— A jak się dobrze siatkę przepatrzy, to i fuska w niej się znajdzie. Z ryby, nie z grochu, dajmy na to.

Józef nie powiedział na takie dictum, więc sierżant ciągnął dalej: — Ale my działaj w innej sprawie. To jest kapitan, a to porucznik i trzeba tych obywateli oficerów zawieźć na Przerwaniec.

— Silnik mam zepsuty...

— No to szybko zreperujcie, dobrze wam radzę. Mamy zacząć szukanie?

— A skąd benzyny wezmę?

— Ile trzeba do waszego Salucika? Trzy litry wystarczą?

— Najmniej pięć, albo i siedem — rolnik postanowił sprzedać swoją skórę możliwie najdrożej.

— Dostaniesz cztery — zawyrokował Mielezsko. — A teraz szukaj, człowieku, łódki, bo szkoda czasu.

— □ —

Kanalikiem wykopanym tuż za stodolą dopłynęli do Biebrzy, jakże innej od tej, którą Kuźmicki widział podczas wspólnej wyprawy z Grzymkiem. Rzeka płynęła tu ko-

CIĄG DALSZY NA STR. 12



rytem znacznie węższym, nurt toczyła bystry i pokretny, zamknięty jak gdyby w kanionie z trziny wysokiej na kilka metrów. Sprawiło to niesamowite wrażenie, ale Kuźmicki z Andruckim niemal całą swoją uwagę poświęcali z początku na utrzymanie równowagi. Sierżant nie zmiescił się już w płaskodennej i okropnie chybotałej łódce, której burty pod ciężarem trzech osób wystawały ponad lustro wody najwyżej kilka centymetrów.

Józef na początku milczał. Był trochę obrażony, ale potem mu przeszło. Była to w końcu jego kraina i zawsze, kiedy tylko płynął z kimś, kto widział to wszystko po raz pierwszy, czuł się trochę jak przewodnik i okazujący wycieczkę z prowincji najcenniejsze zabytki Wawelu.

— Teraz trzymać się mocno! — ostrzegali za każdym razem, gdy zbliżali się do jakiegś niebezpiecznej kipieli. — Zaraz będą wiry, a jama tu niewąska, na dobre kilka metrów.

Płynęli w ten sposób mniej więcej z pół godziny, po czym dotarli do miejsca, w którym rzeka rozdzielała się na dwa koryta, szersze i węższe. Józef skierował łódkę w węższe koryto i powiedział: — Ot i Przerwaniec. Dokąd teraz?

— Tu gdzieś powinien stać namiot — Andrucki bezradnie rozejrział się wokół siebie.

— Gdzieś na Przerwańcu — dorzucił Kuźmicki z nadzieją.

— Przerwaniec ciągnie się z dziesięć kilometrów — objaśnił Józef spokojnie, ale nie bez satysfakcji. — W jednym miejscu rzeczka, znaczy wąskie koryto, łączy się do Biebrzy. Dziura w brzegu się zrobiła i stąd wędkarze nazywali to wszystko Przerwańcem. A tu jak kto wpłynie i drogi nie zna, może poślizgnąć. Kanalików różnych i zatoczek od cholery.

— Szukamy jednego Francuza, roślinność tutaj bada — powiedział Andrucki.

— Znaczą profesora? Tak trzeba było mówić — uciechał się rolnik. — W tym roku to ja jego jeszcze nie widziałem, ale wiem, gdzie najczęściej siedzi. Znajdziemy, nie ma obawy!

Poszukiwania trwały jednak kilka godzin. Profesora znaleźli dobrze już po południu. Dostrzegli najpierw zielony ponton dwukomorowy z silnikiem cichobieżnym Johnsona, a dopiero potem namiot ukryty w gęstym sitowiu. Poletko biwakowe otoczone z trzech stron grząskim bagnem, z czwartej zaś fosą martwego kanału, miało nie więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych. Przy namiocie z tropikiem, którego przednia część pełniła rolę kuchni i spiżarni zarazem, stał turystyczny stolik rozkładany, z takim samym krzeselkiem. Kilka wędek opartych o namiot, parę stoików z moknącymi w zielonkawym płynie roślinami i dwa zeszyty leżące na stoliku, dopełniało skromnego wyposażenia obozowiska.

Francuz słysząc hałasy, wypelził z ortaliowej budki, w której odbywał zapewne poobiednią siestę. Był człowiekiem w wieku trudnym do określenia. Nie starym jeszcze, ale już i nie pierwszej młodości, z bujną czupryną siwych włosów i krótko przystryżoną brodą, okalającą twarz o skórze opalonej na kolor czekoladowy.

— Panowie pewnie z policji? — zapytał uprzejmie, ale bez cienia emocji.

— Widać to po nas? — równie uprzejmie zapytał Andrucki.

— Ach, skądże! Ale wędkarzami nie jesteście, bo nie widzę wędek, więc mogę się domyślać, z kim mam niewątpliwą przyjemność — Francuz świetnie mówił po polsku, jednakże z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. — Witam pana, panie Józefie — zwrócił się do rolnika. — Co dobrego słysząc? Zna zdrowia? A jak tam dzieci?

— Pomalutku. — Józef serdecznie uściśnął podaną mu dłoń. — Czemu pan profesor do nas nie zjechał? Zsiadł mleko zawsze czeka w studni na miłego gościa. A i szynka wędzona na jałowcu, i coś do szyneczki.

— Jeszcze długo tutaj pobędę i do wspólnych gospodarzy zajadę, na pewno!

— Panie profesorze, czy mógłby pan pokazać nam miejsce, w którym znalazł pan marynarkę? — Andrucki przerwał wymianę uprzejmości.

— Naturalnie, proszę ze mną.

Popłynęli pontonem naukowca. Była to piękna dwukomorowa dinghi, na której wygodnie mogło się zmieścić kilku ludzi wraz z pokaznym bagażem. Cichobieżny Johnson średniej mocy mruczał tak delikatnie, że można było swobodnie rozmawiać. Po ogłuszającym łomocie silnika marki „Salut”, praca tego urządzenia przypominała muzykę.

— Ile razy tu jestem, nie mogę się nie zachwycić — profesor okazał się elokwentnym romantykiem. — Proszę tylko popatrzeć, jakie otacza nas piękno! Urodziłem się we Francji, ale w gruncie rzeczy jestem Polakiem i dziękuję Bogu, że moją drugą ojczyznę wyposażył w ten cud natury.

— Faktycznie, niebrydka tutaj — zgodził się Kuźmicki.

(Cdn.)

fan-club

REDAGUJE
KRZYSZTOF KURIANIK

Piosenki zespołu „Pet Shop Boys” nie schodzą z czołowych miejsc list przebojów. Obecnie największym wzięciem cieszy się utwór „Heart”, którego polskie tłumaczenie dziś zamieszczamy.

— Co robiliście przez ostatnie dni w Nowym Jorku? Czy nagrywaliście nowy album?

NEIL: — Nagrywaliśmy nowe wersje utworów „It's a Sin” i „Always on My Mind” na nasz nowy LP z muzyką do tańca. Płyta powinna ukazać się na początku lipca. A poza tym przez dwa tygodnie wypoczywaliśmy na Wyspach Kanaryjskich.

CHRIS: — Nie jest to film fabularny, ot, taka impresja na temat naszej muzyki, bez żadnej linii przewodniej. Zresztą, nie widzieliśmy jeszcze zakończenia filmu. Nie mamy na to czasu.

NEIL: — Film wszedł już na ekrany. Nie oczekujemy jednak wielkiego sukcesu. Są to raczej połączone teledyski, które lepiej

TRZY PYTANIA do „Pet Shop Boys”

CHRIS: — Płyta, która ukaże się, nie będzie krążyć z piosenkami premierowymi. Będzie to składanka z naszymi największymi hitami. LP z nowymi utworami, który przygotowujemy teraz, ukaże się wiosną. Jesienią rozpoczniemy pracę nad tą płytą, która będzie zupełnie inną niż „Actually”. Bardziej bogata w efekty dźwiękowe i instrumentalne.

— Co dzieje się z Waszym pierwszym filmem „It couldn't happen here”?

ogląda się na wideo niż w kinie.

— Teledysk z piosenką „Heart” kręciście w Jugosławii. O czym jest ta historia?

CHRIS: — Filmik ten kręciliśmy w Zagrzebiu, we wnętrzach zamkowych i przepięknych jugosłowiańskich plenerach. Jest to historia o miłości. Neil żeni się i spędza noc poślubną w zamku, w którym straszy. Ja jestem Draculą, który wylania się z mroków nocy i uwodzi pannę młodą.

Rzadko piszę o heavy-metalowcach, dlatego też dziś, na okrasę, fotka groźnego „Kreatora”.



„SERCE”

Zawsze kiedy cię widzę
coś się ze mną dzieje
to jakby reakcja łańcuchowa
między tobą a mną
moje serce przestaje bić
moje serce przestaje bić
za każdym razem
och, och, och za każdym razem

Gdybym cię nie kochał
rozejrzałbym się za kimś innym
ale zawsze kiedy cię widzę
jest ten sam efekt
moje serce przestaje bić
moje serce przestaje bić
za każdym razem.
Och, och, och za każdym razem
Zawsze gdy słyszę bicie twego serca

obok mnie
jestem w tobie zakochany
mówię to, co myślę
jestem w tobie zakochany
a ty nie wiesz, co to znaczy
być z tobą
bum, bum, bum serca bicie
bum, bum, bum serca bicie
Zawsze kiedy cię widzę
bez względu na to, co robimy
zachodzi dziwna reakcja
czy też to czujesz
moje serce
przestaje bić
moje serce przestaje bić
za każdym razem
Och, och, och za każdym razem
Och, och, och za każdym razem
gdy słyszę obok mnie bicie twego serca

Jestem w tobie zakochany
mówię to, co myślę
jestem w tobie zakochany
mówię to, co myślę
jestem w tobie zakochany
a ty nie wiesz, co to znaczy
być z tobą.

rock serwis

Prawie 2,5 miliona dolarów kosztowało tournée Tiny Turner po Japonii zorganizowane pod hasłem „Break Every Rule”, zacerpniętym z jej płyty długogrającej. Po 31 latach pracy estradowej „boska Tina” twierdzi, że ma już dość występów na żywo i nadszedł czas na trochę spokojniejsze życie. Piosenkarka zwierzyła się, że pragnie poświęcić się karierze aktorskiej i zacząć nareszcie korzystać z uroków życia.

Miesiąc wcześniej niż zwykle odbył się w Białymstoku tradycyjny już maraton rozrywki „Raz do roku w Białymstoku”, zorganizowany tym razem przez Towarzystwo Przyjaciół „Kuriera”. Okręgowy Inspektorat Pracy w Białymstoku i inne firmy, sponsorujące imprezę.

W tym roku poczytna białostocka popołudniówka „Kurier Podlaski” obchodziła swoje 5-lecie, z tej okazji postanowiono zaprosić najlepszych kabareciarzy i piosenkarzy. Gwiazdą czterech wieczorów była Helena Vondraczkowa, która nie starzeje się i nie traci jeszcze głosu — potrafi śpiewać, rozbawiać publiczność i robić na scenie show w stylu zachodnim. Nie można tego było powiedzieć o naszych gwiazdkach i gwiazdeczkach, które mając do dyspozycji świetną orkiestrę Aleksandra Malszewskiego — wołali śpiewać z play-backu. Jak zawsze dobra była Maryla Rodowicz, która nie przemęczała się i śpiewała 2 lub 3 piosenki dziennie. Podobał się również: zapomniana piosenka Danuta Rinn oraz kabareciarze, którzy od lat wygłaszają te same nudne teksty. Bez wątplenia — najlepszym z nich był Krzysztof Daukszewicz, który przedstawił świetny — nowy — program, ale ucale nie do śmiechu. No cóż, takie mamy czasy.

Nie sprawdzili się zupełnie prezenterzy koncertów — Katarzyna Dowbor i Tadeusz Kruszyński. Nie zawsze uroda idzie w parze z innymi uwalorami i o tym powinni pamiętać zarówno sami „zapowiadacze”, jak również organizatorzy — ażeby na przyszły rok nie paść takiej gąfy beztalenta.

„Raz do roku w Białymstoku” to już w tym mieście tradycja. Koncerty obejrzało ponad 20 tysięcy widzów, mimo nie najlepszej pogody. Może o czymś takim pomyśleć w Łomży? Amfiteatr jest, z Warszawy do Łomży bliżej niż do Białegostoku...

Na wakacje przyjeżdżają do Europy Sting, Michael Jackson, „Pink Floyd”, Terence Trent d'Arby, Whitney Houston, George Michael, Cliff Richard oraz „Status Quo”, „Wet, Wet, Wet” i „A-ha”.

Australijski zespół „Icehouse” przewoził swoje amerykańskie tournée, aby odebrać platynową płytę — tym razem za sprzedaż longplaya „Man Of Colours”.



ROLNICZA SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA
w Wiźnie

ogłasza przetarg nieograniczony

na sprzedaż nw. sprzętu:

1. ciągnik C-360, szt. 1 — cena wywoławcza 635 376 zł
2. przenośnik taśmowy PTP, szt. 1 — cena wywoławcza 98 980 zł.

I przetarg odbędzie się w dniu 21 lipca 1988 r. o godzinie 10.00 w budynku SKR-u w Wiźnie, ul. Łomżyńska. Jeżeli I przetarg nie dojdzie do skutku, II przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 11.00. Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej będzie przyjmowane w dniu 21.07.88 r. w miejscu przetargu. Przystępujący do przetargu winni złożyć zaświadczenie wydane przez właściwy dla miejsca zamieszkania rolnika Urząd Gminy lub przedstawić nakaz płatniczy podatku gruntowego. Sprzęt można oglądać na placu SKR w Wiźnie w godzinach 8.00—12.00. Zastrzega się prawo unieważnienia części lub całości przetargu bez podania przyczyn.

K-199

JAK CO ROKU, MIMO PEŁNI
SEZONU — WRAZ Z OBY-
WATELKĄ ŻONĄ ROZWAŻA-
MY PROBLEMY WYPOCZYN-
KU URLOPOWEGO

W TRAKCIE OSTRYCH,
ALE KONSTRUKTYWNYCH
NARAD ŚCIERAJĄ SIĘ NA-
SZE POGLĄDY NA TEMA-
TY ZASADNICZE



WRESZCIE Z WARIAN-
TOWEJ LISTY KURORTÓW,
KTÓRE WARTO ZASZCZY-
CIĆ...

WYBIERAMY MIEJSCOWOŚĆ
SPEŁNIAJĄCĄ OPTYMALNE
WARUNKI I W PEŁNEJ HAR-
MONII KONTYNUUJEMY
AKTYWNY WYPOCZYNEK



rys. Marek Polański

WOJEWÓDZKA SPÓŁDZIELNIA
TRANSPORTU WIEJSKIEGO
Oddział Wysokie Mazowieckie

zatrudni od zaraz

- △ mechaników samochodowych — wymagane ukończenie szkoły zawodowej,
- △ elektryków samochodowych — wymagane ukończenie szkoły zawodowej,
- △ referenta ds. zaopatrzenia technicznego — wymagane wykształcenie średnie + znajomość gospodarki materiałowej,
- △ kierownika Stacji Obsługi — wymagane wykształcenie średnie techniczne + znajomość pracy na tym odcinku.

Bliższych informacji udziela Dział Kadr, telefon 25-68. K-217-1

PRZEDSIĘBIORSTWO
ZAGRANICZNE
„MONDEX”

w Czerwonym 131 k. Kolna, tel. 26-47

ZATRUDNI.

- ⊖ stolarzy po szkole drzewnej lub z praktyką oraz do przyuczenia w zawodzie,
- ⊖ mistrzów stolarskich,
- ⊖ mistrzów kuśnierskich i kuśnierzy,
- ⊖ palaczy c.o. z uprawnieniami,
- ⊖ pracowników placowych i transportu,
- ⊖ specjalistę ds. produkcji drzewnej i leśnej, wykształcenie wyższe lub średnie z praktyką.

ATRAKCYJNE PŁACE

Zapewniamy dowóz pracowników z Łomży.

zakupi

- ⊖ drewno tartaczne, iglaste i bukowe,
- ⊖ tarcicę iglastą i bukową grubości od 42 mm wzwyż.

posiadamy

- ⊖ wolne moce na tokarce do drewna.

K-218-0

OGŁOSZENIA DROBNE

SPRZEDAM młocarnię MSC-7 i wiązankę Wc5. Szabłowski, Szabły Młode 32, p-ta Sniadowo. K-2325

SPRZEDAM ciągnik C-330, stan dobry Chojny Stare 4, poczta Łomża. K-2326

M-3 SPÓŁDZIELCZE w Ostródzie, zamienie na podobne w Łomży. Jan Napiórkowski, Ostróda. Jaracza 24/55. K-2327

KUPIĘ mieszkanie własnościowe w Łomży. Łomża ul. Konstytucji 3 Maja 5/18. K-2328

SPRZEDAM gospodarstwo rolne wraz z budynkami i sprzętem rolniczym Jurczak. zam. Osnówka gm. Perlejewo. K-2329

UWAGA rolniku! Tepimy muchy i komary w obejściach. Grabska, Łomża, tel. 68-941. p 453-00

SPÓŁDZIELCZE M-4 (nowe) w Ostrołęce zamienie na podobne w Zambrowie. Wiadomość: Zambrow, Grunwaldzka 13/57. p 526-1

OFERTY matrymonialne krajów europejskich wysyła Biuro „Mazury”, Olsztyn, skrytka 335. Eg 131-0

kontakty

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedzwiecka, Jan Oniszczyk, Stefan Ostrowski, Gabriela Szczepańska, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter: Gabor Lőrinczy. Oprac. graf.-techn.: Stanisław Tomaszek. Redaktor techniczny i korekta: Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Krzysztof Dworniczak, Bronisław Gołębiowski, Wiesław Kosiński, Piotr Kunciewicz, Krzysztof Kurianiuk, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel.

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża. Telefony: 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 34-95 (administracja). Telex: 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Białostockie Wydawnictwo Prasowe — dyr mgr Romuald Łazarowicz, 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne — dyr mgr Witalis Sadowski, kierownik Oddziału Gazet i Czasopism — Stanisław Fajst. Zam. 1233/8 8r. Nakład 14.600 egz. PL ISSN 0208 6840 Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty”, 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalnie — 455 zł, półrocznie — 910 zł, rocznie — 1820 zł. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. E-3



„Swego męża poznałam dwa lata przed ślubem — pisze Czytelniczka z Suwałk. — Nasze współżycie seksualne w okresie narzeczeństwa układało się znakomicie. Po ślubie wszystko się zmieniło. Mąż stał się oziębły. Ja też coraz rzadziej mam satysfakcję we współżyciu. Stan ten bardzo mnie niepokoi.”

W odpowiedzi posłużymy się doświadczeniami dr. ZBIGNIEWA LWA STAROWICZA, który o podobnych przypadkach pisze tak:

W obyczajowości europejskiej istnieje interesujący fenomen — tzw. zespół Tristana i Izoldy. Występuje on u osób, które mają silnie zakodowane normy zakazu współżycia przedmałżeńskiego z jednocześnie silną potrzebą zerwania „zakazanego owocu”. W okresie przedmałżeńskim następuje zatem zderzenie się sprzecznych potrzeb. Podjęcie współżycia seksualnego prowadzi z jednej strony do odczuwania przyjemności i powstania więzi seksualnej, z drugiej jednak towarzyszy mu pewne napięcie i poczucie winy z powodu przekroczenia wpojonego zakazu. Inaczej mówiąc: współżycie przebiega na

wysokim poziomie wewnętrznego napięcia, dodatkowej energii. Atmosfera owocu zakazanego, pobudza podświadomość, aktywność psychiczną, nadaje współżyciu specyficzny klimat.

Po zawarciu związku małżeńskiego współżycie staje się „legalne”, dozwolone, nie budzi poczucia winy. Zdawałoby się, że istotnie będzie to miodowy miesiąc związku wolnego już od napięć. Okazuje się, że jest odwrotnie. Pojawia się spa-

dek zainteresowania współżyciem, obniża się poziom odczuć i doznań, niekiedy wywołuje się nawet zniechęcenie czy oziębłość. Dla młodej pary jest to źródłem wielkiego zaskoczenia. Owa legalność stała się przyczyną pogorszenia ich współżycia seksualnego, zabrakło dopingu, klimatu pewnego napięcia. I tym między innymi można tłumaczyć niezrozumiały dla otoczenia fakt rozpadu niektórych świeżo powstałych małżeństw.



Podstawy nauki o alergii sięgają lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Od tego okresu obserwuje się intensywny rozwój nauki zwanej alergologią. W 1958 r. Międzynarodowy Komitet przyjął następującą definicję: „Alergia jest nabytą, jakościowo zmienioną odczynnością żywych tkanek, wywołaną swoistymi antygenami”. Tak więc obalony został, uprzednio rozpowszechniony, pogląd o istnieniu alergii wrodzonej.

zjawiska i choroby alergiczne

Alergię nabywa się czynnie lub biernie. Uczulenie czynne, które występuje najczęściej, charakteryzuje się tym, że ustrój sam wytwarza mechanizmy alergiczne. Do wywołania takiego rodzaju uczulenia konieczny jest kilkakrotny, co najmniej dwukrotny, kontakt ustroju człowieka z substancją będącą alergenem. Po pierwszym zetknięciu się z alergenem powstaje uczulenie, przebiegające bezobjawowo. Dopiero po następnym kontakcie, zwanym wyzwalać, występują objawy chorobowe. Okres pomiędzy pierwszym kontaktem a wystąpieniem zmian klinicznych zależy od wielu czynników: rodzaju alergenu, dawki, drogi wprowadzenia czy wrażliwości ustroju. Średnio wynosi on około tygodnia. Przy okresowym kontakcie chorego z alergenem, np. lekiem czy rzadko spożywanym pokarmem, objawy mogą wystąpić po kilku miesiącach, a nawet latach. Uczulenie biernie w praktyce jest rzadko obserwowane. Polega ono na wprowadzeniu osobom zdrowym przeciwciał od osób mających uczulenie. Z tego rodzaju alergią spotyka się niekiedy po przetaczaniu krwi, leżeniu gamma globulinami lub w następstwie przenikania przez łożysko przeciwciał z krwi matki do krwi płodu. W takich przypadkach już pierwszy kontakt z antygenem może wywoływać zmiany chorobowe.

Poza nabytym charakterem alergii, drugą istotną cechą jest jej swoistość. Polega ona na tym, że układ przestrzenny łańcucha białkowego przeciwciała wytwarzanego w ustroju ludzkim odpowiada pewnym grupom tylko tego antygeny, który użyty został do uczulenia. Swoistość tę łatwo jest wykryć w alergii jedynkowej, tzn. kiedy uczula jeden alergen, jak np. poziomki, przymulka czy lek. U osób z alergią wielowązową, gdzie objawy chorobowe może wywołać szereg antygenów, nawet kilkadziesiąt, przesłedzenie związku zachodzącego pomiędzy występowaniem choroby a kontaktem z alergenem jest bardzo trudne.

Uprzednio uważano, że każde pojawienie się objawów uczulenia związane jest z obecnością przeciwciał w ustroju. Dalsze jednak badania wykazały, że istnieje jeszcze inny mechanizm. We krwi znajdują się krwinki zwane limfocytami, które są produkowane przez węzły chłonne i śledzionę. Niektóre z nich posiadają specjalne mechanizmy immunologiczne, zdolne do swoistego reagowania z antygenem i będące odpowiednikami przeciwciał. Od rodzaju mechanizmu alergii zależy okres wystąpienia objawów chorobowych od chwili kontaktu z antygenem. Gdy z antygenem reaguje przeciwciało, to zmiany występują w ciągu kilku minut. Typowym przykładem tego jest pokrzywka czy wstrząs po penicylinie. W alergii związanej z udziałem limfocytów okres wyłączenia objawów może wynosić wiele godzin. Związane to jest z powolnym gromadzeniem się komórek zdolnych do reagowania z antygenem. Przykładem tego mechanizmu jest wypryskczema.

O mechanizmach chorób alergicznych będziemy mówić jeszcze w następnym numerze.

Dr med. JERZY WNOROWSKI



zład spławika

Siedziałem na burcie nad Narwią w pobliżu Piątnicy i patrzyłem na spławik, który nie poruszył się od dobrych kilku godzin, gdy padło pytanie: — Bierze?

- Nie.
- Patrz pan — powiedział, siedząc obok podobny do mnie towarzysz niedoli — co z tymi rybami się dzieje?
- Nic się nie dzieje, bo ich nie ma.
- Są. Widziałem.
- Jak się robi parę kilometrów, to kilka uda się zobaczyć. Ale tak w ogóle to nie ma.
- Możliwe, że jest mało.
- Na pewno jest mało.
- Fabryki trują i nie ma na nie sily.
- Nie ma.

a człowiek psioczy

- Na prawdziwych klusownikach też nie ma rady.
- Nie ma.
- W zeszłym tygodniu na Narwi koło Kalinowa to w biały dzień siatkami młócili.
- Ludzie widzą, a strażnicy nie widzą.
- Strażnicy też ludzie.
- Też, ale dla nich jak nie ma meldunku, to nie ma sprawy. A jak człowiek zamelduje, to mają pretensję, że im się robotę dają.

- A pan by nie miał pretensji?
- Nie.
- Dziwny z pana chłop.
- Jak się pieniądze bierze, to trzeba pracować.

— Dotychczas mówiło się, że są klusownicy, bo nie ma strażników. Teraz mamy i tych, i tych... Kiedyś, panie...

Te słowa otworzyły „drzwi do wspomnień”. Rzeka, płynąca pod moimi nogami, odzyskała swój naturalny błękit. Zsrebrzyła się lawicami ryb, a brzegi zaludniły wędkarzami, którzy nie wkładali do torby plotki ważącej mniej niż 20 deka. I pomyśleć, że wszystko to stało się tylko dlatego, że ryba nie brała. W przeciwnym bowiem razie on siedziałby na swoim miejscu, ja na swoim. I nie miałbym możliwości ustalenia wspólnych poglądów w tyłu sprawach... Stąd wniosek, że brak ryb w Narwi zbliża, pozwala się porozumieć i zrozumieć, co jest uścisk pozytywny. A człowiek, nieświadom tych walorów, psioczy.

CIACH

SWETER MĘSKI

Obwód piersi 100–104 cm

Materiał: około 75/dkg włóczki druty nr 3 i 4, drut z żyłką (80 cm długości) nr 3.

Ściągacz: 1 oczko prawe, 1 oczko lewe, na zmianę.

Ścieg podstawowy:
Liczba oczek podzielna przez 8 + 2 oczka brzegowe. Dziergać wg schematu. Cyfry z boku schematu oznaczają rzędy na prawej stronie. Oczka w rzędach powrotnych robić jak się pojawiają. Schemat powtarzać na całej szerokości i wysokości dzianiny.

Próbka obliczeniowa: 24 oczka i 28 rzędów = 10,5 × 10 cm.

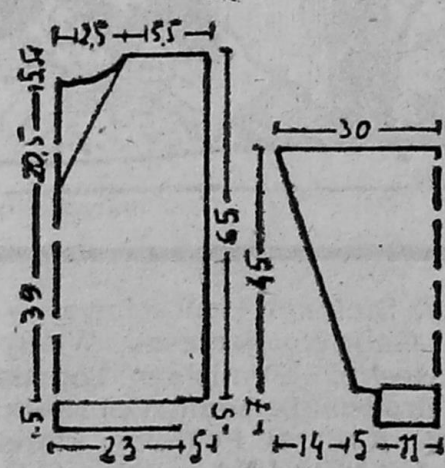
Pleczy:
Na druty nr 3 nabrać 90 oczek i dziergać ściągacz na wysokość 5 cm = 17 rzędów, dodając równomiernie w ostatnim rzędzie 40 oczek = 130 oczek. Zmienić druty na nr 4 i dziergać dalej ścieg wg schematu. Na wysokości 59,5 cm = 166 rz od ściągacza zamknąć na wycięcie koło szyi 26 środkowych oczek, po czym obie części dziergać oddzielnie. Na wyokrąglenie wycięcia koło szyi zamknąć w każdym 2 rzędzie jeszcze 1 raz 40, 2 razy 30, 2 razy 20 i 1 raz 10. Na wysokości 5,5 cm wykroju koło szyi zamknąć równo na ramię pozostałe 37 oczek.

Przód:

Dziergać jak tył, ale ze szpiczastym wycięciem koło szyi. Na wysokości 39 cm = 110 rz od ściągacza podzielić oczka na połowę i każdą z części robić oddzielnie. Na skos wykroju zamknąć na wewnętrzny brzegu każdej części 23 razy w każdym 2 rzędzie i 5 razy w każdym 4 rzędzie po 1 oczku. Ramiona zamknąć na tej samej wysokości od ściągacza co na plecach.

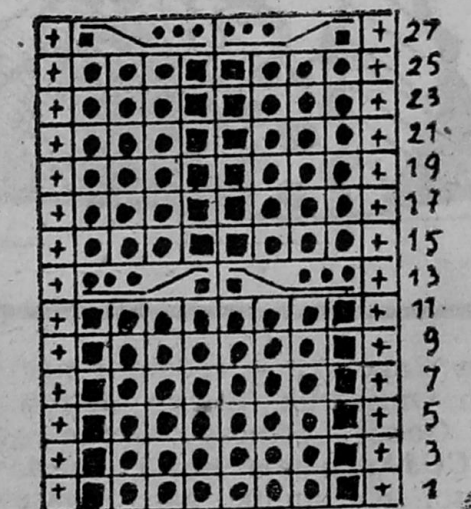
Rękaw:

Na druty nr 3 nabrać 42 oczka i dziergać ściągacz na wysokość 7 cm = 25 rzędów. W ostatnim rzędzie dodać, równomiernie rozmieszczając, 32 oczka = 74 oczka. Zmienić druty na nr 4 i dziergać ściągacz na wysokość 5 cm = 17 rzędów, dodając równomiernie w ostatnim rzędzie 40 oczek = 114 oczek. Zmienić druty na nr 4 i dziergać dalej ścieg wg schematu. Na wysokości 59,5 cm = 166 rz od ściągacza zamknąć na wycięcie koło szyi 26 środkowych oczek, po czym obie części dziergać oddzielnie. Na wyokrąglenie wycięcia koło szyi zamknąć w każdym 2 rzędzie jeszcze 1 raz 40, 2 razy 30, 2 razy 20 i 1 raz 10. Na wysokości 5,5 cm wykroju koło szyi zamknąć równo na ramię pozostałe 37 oczek.

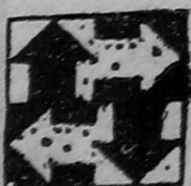


- + = OCZKO BRZEGOWE,
- = OCZKO PRAWO,
- = OCZKO LEWE,

... = 3 OCZKA PRZEŁOŻYĆ NA DRUT POMOCNICZY ZA DZIANINĄ, NA STĘPNIE PRZERÓBIĆ NA PRAWO, POTEM 3 OCZKA Z DRUTU POMOCNICZEGO — NA LEWO.
... = 1 OCZKO PRZEŁOŻYĆ NA DRUT POMOCNICZY PRZED DZIANINĄ, NASTĘPNIE 3 OCZKA PRZERÓBIĆ NA LEWO, POTEM Z DRUTU POMOCNICZEGO — NA PRAWO.



radzimy sobie



CZWARTEK - 7.07.88

Program 1

8.50. „W poszukiwaniu kapitana Granta” (2) — serial bułg.-radz.
17.30. Telewizyjny film dokument.
18.25. „Zdrowie” — wojskowy program publicyst.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Teraz” — tygodnik gospodarczy.
19.30. Dziennik.
20.00. „Sprawy majora Zemana” (1) — serial CSRS.
21.00. Pegaz.
21.40. XXII Festiwal Piosenki Żołnierskiej — Kolobrzeg '88.
22.40. DT — Komentarze.
23.00. Kolobrzeg '88.

Program 2

18.30. „Bolesne dojrzewanie Adriana Mole'a” (5) — serial ang.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. „Jak powstaje miasto” — publ. kult.
20.00. Program rozrywkowy.
20.30. Studio Sport.
21.00. Ekspres reporterów.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Kino Studyjne „Dwójki”: „System” — film ang.
23.10. Wieczorne wiadomości.

PIĄTEK - 8.07.88

Program 1

9.00. „Teleferie z kukułką”.
9.30. „Syn strzelca” (1) — serial hist. NR.
16.55. „Mieszkać” — wszechświat budowlana.
17.30. W starym kinie: „Każdemu wolno kochać” — pol. film fab.
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor rządowy.
19.30. Dziennik.
20.00. „Chrześnik” — pol. film fab.
21.00. Czas.
21.30. Kolobrzeg '88.
22.20. DT — Komentarze.
22.40. Kolobrzeg '88.
23.10. „Konwój” — program publ.
24.00. DT — Komentarze.

Program 2

17.15. Studio Sport.
18.30. „Polak podróżuje” — rep.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Dookoła świata.
20.00. Magazyn „Piątek”.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Filmy Carlosa Saury: „Czardziejska miłość”.
23.40. Wieczorne wiadomości.

SOBOTA - 9.07.88

Program 1

9.00. „Mała czarownica” — film CSRS.
10.30. DT — Wiadomości.
10.40. Stare, nowe, najnowsze.
11.40. „Azymut” — wojskowy program publ.
12.10. „Henry Spencer Moore” — szwajc. film dok.
12.45. Bariery.
13.15. Reportaż z przeszłości.
14.05. Antologia dramatu powszechnego: Michał Lermontow — „Maskarada”.
16.15. Losowanie Dużego Lotka.
16.25. „Konwój” — program publ.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Pod jednym dachem” (2) — serial CSRS.
18.30. Butik.
19.00. Dobranoc.
19.10. Z kamerą wśród zwierząt.
19.30. Dziennik.
20.00. „Jeździec znikąd” — film fab. USA.
21.45. Tydzień w polityce.
21.55. Kolobrzeg '88.

23.35. DT — Wiadomości.
23.40. Kino Sensacji: „Inspektor Belamy” (2) — serial austral.

Program 2

15.00. Koncert żywych.
15.30. „Akcja O.P.E.N.” — serial franc.
16.30. W kręgu kina.
17.30. Spektakl.
18.30. Spotkanie z „Kalinką”.
19.30. Galeria 37 milionów.
20.00. Muzyka plenerowa, czyli od Haendla do Straussa.
21.00. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Lata dwudzieste, lata trzydzieste” — pol. komedia muz.
23.10. Wieczorne wiadomości.

NIEDZIELA - 10.07.88

Program 1

9.00. „Panienka z okienka” (1) — serial pol.
10.30. DT — Wiadomości.
10.35. „W wytwórniach filmowych świata” (4).
11.30. „Zajechał wóz do Węgierskiej Górki” (I).
12.00. Siedem anten.
12.30. Kraj za miastem.
13.00. „Zajechał wóz...” (II).
13.30. Koncert żywych.
14.20. „Zajechał wóz...” (III).
14.50. Portrety: „Dzień dłuższy niż wiek”.
15.10. „W kamiennym kręgu” (2) — serial brazył.
17.15. Teleexpress.
17.30. Studio Sport.
18.00. „Konwój” — program publ.
18.50. Antena.
19.00. Wieczorka.
19.30. Dziennik.
20.00. „Dom” (9) — serial TVP.
21.40. Kolobrzeg '88.
23.00. DT — Wiadomości.
23.05. Kolobrzeg '88.



Program 2

11.25. „Peryskop” — wojskowy program publ.
12.00. Baśnie, bajki, bajeczki.
12.50. Jutro poniedziałek.
13.10. 100 pytań do...
13.45. Bliżej świata.
15.25. VII Ogólnopolskie Dni Muzyki Cerkiewnej.
15.50. Niedziela w...
16.25. „Kino-Okno”.
17.25. Opowieści Michaiła Zoszczenki.
17.40. Festiwal Muzyki Łańcut '88.
19.00. Wywiady Ireny Dziedzic.
19.30. Galeria „Dwójki”.
20.00. Studio Sport.
21.00. Program rozrywkowy.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Czyje dziecko” (3) — serial austral.
22.35. Adam Hanuszkiewicz — czytanie Gombrowicza.
22.45. Wieczorne wiadomości.

PONIEDZIAŁEK - 11.07.88

Program 1

9.50. DT — Wiadomości.
9.55. Powitanie delegacji radzieckiej.
15.40. Delegacja radziecka w Sejmie.
ok. 18.00. Teleexpress.

18.15. „Nad brzegami Dniepru” — rep.
18.30. Przeboje z naszej fonoteki.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik.
20.15. Spektakl na bis: Feliks Falk — „Węzeł”.
21.45. „Eurydyki płaczące” — film dok.
22.15. „Pójść na całość” — program publ.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. To jest telewizja.
18.55. Galerie świata.
19.30. Muzyczne małżeństwo.
20.00. „Wspominki Dr. Ozdy” — program rozrywkowy.
20.30. Program rozrywkowy.
21.00. Klub młodych.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Biografie: „Paul Gauguin” (4) — serial franc.
22.45. Piosenka aktorska.
23.00. Wieczorne wiadomości.

WTOREK - 12.07.88

Program 1

9.00. „Teleferie”.
9.30. „Wszystkie żagle w górę” — serial rum.
11.55. Delegacja radziecka w Poroninie.
16.20. Teleexpress.
16.35. Delegacja radziecka na Wawelu.
19.00. Dobranoc.
19.10. Kalejdoskop.
19.30. Dziennik.
20.15. „Przychodnia na prowincji” (11).
21.05. Konferencja prasowa rzecznika rządu.
21.30. Telewizyjny film dokument.
22.00. Informator wydawniczy.
22.20. Ekspresowe rozterki.
22.50. — DT — Komentarze.

Program 2

18.30. Ojczyzna — polszczyzna.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Studio Sport.
20.00. Non stop kolor.
21.00. „Leningrad” — rep.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Ekranizacje: „To niepewne uczucie” (1) — serial ang.
22.45. Wieczorne wiadomości.

ŚRODA - 13.07.88

Program 1

9.00. „Teleferie”.
9.30. „Szaguma, albo zaginione światy” — serial franc.
11.55. Delegacja radziecka w stoczni w Szczecinie.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Ginąca przyroda” (3) — węg. serial dok.
18.00. „Być aktorką”.
18.30. Sonda.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sejmowe spotkania.
19.30. Dziennik.
20.15. Nowela filmowa.
20.45. Koncert w Wilanowie.
22.10. Klub międzynarodowy.
22.45. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. Studio Sport.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Uwaga, dokument.
20.15. Niedokończony koncert na dziedzińcu zamkowym.
21.00. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Silas Marner” — ang. film fab.
23.20. Wieczorne wiadomości.

zobaczcie koniecznie

W czwartek, 7 lipca — w kinie studyjnym „Dwójki” — angielski dramat społeczno-obyczajowy „System”, w reżyserii Michaela Winnera. Oliver Reed w roli podrywacza trafia w końcu na dziewczynę o lepszym systemie podrywania. (Pr. II, godz. 21.5).

W sobotę, 9 lipca — klasyczny western „Jeździec znikąd”. Takie filmy zawsze cieszą się powodzeniem i tym razem miłośnicy przygód bohaterów Dzikiego Zachodu nie będą rozczarowani. Farmerzy w stanie Wyoming prześladowani są przez bandę, która wynajmuje zawodowego rewolwerowca, aby rozprawił się z opornymi. W obronie farmerów staje inny rewolwerowiec. W saloonie dochodzi do walki na pięści. Ten pojedynek przeszedł do historii kina jako najwspanialszy w historii westernu. (Pr. I, godz. 20.00).

Również w sobotę — komedię muzyczną Janusza Rzeszewskiego „Lata dwudzieste, lata trzydzieste”. W waka-cyjnym nastroju przyjeździecie zobaczycie film z pięknymi kobietami, piecenkami, humorem i nutką nostalgii. Obsada znakomita: Grażyna Szapolowska, Krzysztof Kolberger, Jan Kobuszewski, Tomasz Stockinger. (Pr. II, godz. 21.45).



„Meteor” CIECHANOWIEC: 7-8.08 — „Nieśmiertelny”, ang., od 1. 15; 9-10.07 — „Zwykli ludzie”, USA, od 1. 15; 12-13.07 — „Skok jaguara”, jug., od 1. 15.
„Roma” GRABOWO: 7-8.07 — „Gry wojenne”, USA, od 1. 12; 9-10.07 — „Naringu”, rum., od 1. 15; 12-13.07 — „Samorodek”, CSRS, od 1. 15.
„Relax” GRAJEW: 7.10.07 — „Łuk Erosa”, pol., od 1. 18; 11-12.07 — „Czuję się świetnie”, pol., od 1. 12.
„Oaza” JEDWABNE: 9-10.07 — „Pięść w ciemności”, CSRS, od 1. 15; 13-14.07 — „W niewoli u Wikingów”, radz.-norw., od 1. 12.
„Wrzós” KOLNO: 8-9.07 — „Ucieczka w noc”, USA, od 1. 18; 10-11.07 — „Miłość, szmaragd i krokodyl”, USA, od 1. 15; 13-14.07 — „Odlizanie”, węg., od 1. 15.
„Millenium” ŁOMŻA: 8-12.07 — „Opowieści Harleja”, pol., od 1. 15; 13.07 — „Nowy”, pol., od 1. 15.
„Saturn” STWISKI: 7-10.07 — „Jak się robi w Chicago”, USA, od 1. 18; 12-13.07 — „Zostanmy razem”, węg., od 1. 15.
„Wars” WYSOKIE MAZOWIECKIE: 7-8.07 — „Zaginiony”, USA, od 1. 15; 9-10.07 — „Skorumpowani”, franc., od 1. 15; 12-13.07 — „Honor Prizzien”, USA, od 1. 18.
„Kosmos” ZAMBROW: 7-9.07 — „Nowy”, pol., od 1. 15; 10-13.07 — „Skorumpowani”, franc., od 1. 15.

ogłoszenia drobne

CEGIELNIA „MATWICA” K. Łomży zatrudni od zaraz pracownika fizycznego w szczególności mechanika operatora koparki K.M.602 — wloka z uprawnieniami oraz mechanika kierowcę z kat. C.E. Wiadomość: Cegielnia „Matwica”, tel. 765-21 w godz. 18.00-20.00.

K-2337

UWAGA!

Od 11-31 lipca 1988 r. — w związku z urlopem pracownika łomżyńskiego Biura Ogłoszeń — z ogłoszeniami drobnymi, które mają być zamieszczone w „Kontaktach” oraz „GW”, prosimy zgłaszać się do urzędów pocztowych.



Dzisiaj prezentujemy pozostałe tabele rozgrywek piłkarskich grup młodzieżowych województwa łomżyńskiego.

GRUPA A trampkarzy (klasa wojewódzka):

1. Unia Ciechanowiec	21: 2	65: 5
2. Wissa Szczuczyn	19: 5	42: 7
3. Komunalni Grajewo	13: 11	27: 19
4. Czarni Wąsosz	9: 15	25: 35
5. Ziemowit Nowogród	9: 15	35: 52
6. Sokół Sokół	8: 16	19: 45
7. Smolniki Stawiski	6: 17	17: 66

GRUPA A trampkarzy starszych (klasa wojewódzka):

1. ŁKS II Łomża	24: 8	37: 18
2. Unia Ciechanów	17: 15	25: 17
3. Orzeł Kolno	17: 15	38: 32
4. Olimpia Zambrów	15: 17	26: 29
5. Sparta Szepletowo	7: 25	14: 37

GRUPA B trampkarzy starszych (klasa wojewódzka):

1. ŁKS I Łomża	32: 4	87: 19
2. Warmia Grajewo	16: 20	23: 50
3. Wissa Szczuczyn	12: 24	26: 42
4. Ruch Wysokie Maz.	12: 24	24: 49

W sobotę, 1 czerwca, na stadionie MOSiR-u w Łomży rozegrany został finałowy pojedynek o mistrzostwo województwa łomżyńskiego trampkarzy starszych pomiędzy zwycięzcami rozgrywek w grupach A i B. Drużyna ŁKS-u pokonała ŁKS II 4:1.

Piłkarze rozpoczęli ferie. Jest więc okazja do kilku słów podsumowania.

Drużyny juniorów i trampkarzy uczestniczyły w rozgrywkach klasy wojewódzkiej, okręgowej i makroregionalnej. W tej ostatniej występowali juniorzy ŁKS-u Łomża. Przed dwoma laty łomżyńscy nieźle sobie poczynili, w minionym sezonie wyraźnie ustępowali swoim rówieśnikom i w konsekwencji od jesieni występować będą w lidze okręgowej juniorów, oprócz zdegradowanego ŁKS-u, występować będą juniorzy Olimpii Zambrów, którzy zajęli nieźle piąte miejsce, ale opuścili ją drużyna Warmii Grajewo. Można pokusić

się o stwierdzenie, że drużyny z naszego województwa są słabsze od rówieśników z innych okręgów. Potwierdza to statystyczne spojrzenie na tabelę klasy okręgowej juniorów. Wśród trzynastu grających tam drużyn tylko dwie są z województwa łomżyńskiego, pięć reprezentuje okręg ciechanowski, a sześć — województwo ostrołęckie. Podobny wniosek wyciągnąć może ktoś obserwujący popisy naszych młodych piłkarzy, którzy biorą udział w rozgrywkach o puchary Kuchara i Michałowicza. Nie lepiej wiedzie się drużynie spartakiadowej. A przecież do tych drużyn wybierani są najlepsi z najlepszych w województwie.

Nasuwa się więc pytanie: czy nasi juniorzy i trampkarze są mniej zdolni od swoich rówieśników? Sekretarz OZPN WFS w Łomży, Maciej Ruszczyk, składował to mniej więcej tak: w rozgrywkach różnych klas gra w naszym województwie 14 drużyn seniorów, 6 — juniorów i 24 — trampkarzy. Razem 44 drużyny, a więc około 1000 zawodników objętych jest systematycznym szkoleniem. Jak na możliwości naszego województwa, jest to bardzo dużo. Natomiast ich szkoleniem zajmuje się dwadzieścia trenerów, w tym tylko jeden I klasy oraz dwadzieścia instruktorów.

Reszta szkoleniowców to byli lub czynni zawodnicy, często niewiele tylko starsi koledzy. I jeszcze jedno. Nasi młodzi piłkarze w bardzo wielu przypadkach są źle trenowani. Chociaż trenowani to niewątpliwie określenie. Są źle szkoleni. Nie uczą się piłkarskiego abecadła, uczą się wygrywać za wszelką cenę.

Do tego dodam jeszcze kilka faktów. Nie będę mówił o pieniądzach ani braku sprzętu. To tematy oklepane. W mojej młodości nie było lepiej z tymi sprawami, a piłkarze byli lepiej wyszkoleni technicznie. To się rzuca w oczy. Widzę jeszcze inną, moim zdaniem, podstawową przyczynę. Postępuję się kilkoma przykładami. Siedem drużyn ŁKS-u (jedna seniorów, dwie juniorów i cztery trampkarzy) trenuje na jednym bocznym boisku obiektu MOSiR-u, a od święta mają do dyspozycji główne. Nieco lepiej w Zambrowie, bo tam też dwa boiska, ale cztery drużyny. Najciężniej w Grajewie. Jedno boisko, dwa kluby i sześć drużyn, w Szeple-towie remont, w Rajgrodzie dawno zaro-rał, a z okien widać asfaltowe alejki, betonowe parkingi i trawniki z tabliczkami: „Nie deptać...”, i jeszcze: długie kolejki w przychodni ortopedycznej, neurologicznej... (este)

15
KONTAKTY
1988.07.10

z tygodnia na tydzień



komunikaty zachęty

W TYM TEMACIE



z urzędowego pisma

„[...] w zrozumieniu tego paragrafu przy zderzeniu podstaw wynikających z pozwu i z roszczeń zawartych w pozwaniu przedmiotowej sprawy, nie wynika wcale, iż ta sprawa winna być rozważana w trybie określonym okolicznościami przewidzianymi w postępowaniu zwanym z koniecznością nakazu odpowiedzi na powyższe w określonym terminie przez Kodeks. Urząd ma więc czas zgodny z paragrafem odnoszącej ustawy na ustosunkowanie się do podmiotu roszczeń wynikających z treści zawartej w omawianym piśmie skierowanym na ręce [...]”.

errare humanum EST

Mniejszość ma zawsze rację!

Henrik Ibsen

MIKOŁAJ REJ Z NAGŁOWIC

BABA co ćwika przedawała

Baba była zuchwałą. Jednego sprawili, Iż u niej na kókoszy ćwika ułapili. Ten tam pobiegł do cichu, by się z babą zbracić, I poprosił jej o ćwika, chcąc go jej zapłacić. Baba nań rzyć wypięła: „Otóż tam masz ćwika! Możesz kaczek nagonić, jeno miej konika”. A ten poszedł splunawszy, było go wstyd tego. Miasto ćwika puchacza uźrał kudłatego.

Motto: Dobrze czy źle, byle dużo.

Szanowna Redakcjo, chciałbym, abyś zamieściła mój wiersz w „KFZW”. A dlaczego to nie wiem, chyba dlatego, że mam ich za dużo. Myślę, że każdy chętnie go przeczyta. Proszę pozytywnie rozstrzygnąć moją prośbę. Z zawodu jestem murarzem,

podredakcyjna ekstrapocztka

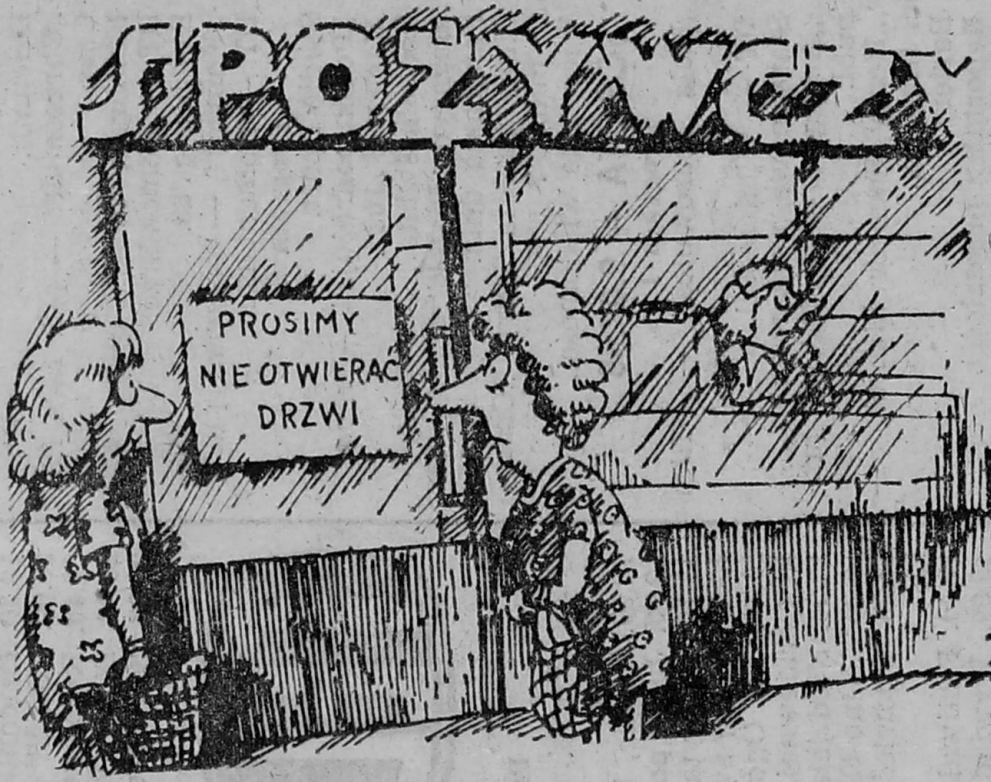
mam 18 lat. A więc dlaczego nie „Konkursowa ościeżnica z wierszykiem”. To chyba lepiej brzmi. Mieszkam w województwie łódzkim. Nazwisko swojego nie podaję, bo komu to potrzebne. Proszę napisać wiersz w „Konkursowej F.” i pod nim: Hektor. ZBIGNIEW C.

Na dworze króla Ludwika XIV zatrudniano ogromną liczbę służby. W samej tylko kuchni pracowało 448 kucharzy, którym z kolei podlegali jeszcze liczniejsi pomocnicy. Za tą pozorną rozrzutnością kryła się jednak zimna kalkulacja. Oto minister finansów Colbert wpadł na genialną

z życia wyższych sfer

myśl, żeby obłożyć podatkiem ludzką próżność. Wyzначił więc ceny za wszystkie dworskie posady. Od ośmiu tysięcy franków za stanowisko głównego kucharza, do półtora miliona za wysoką godność majordomusa. Mimo wysokich cen trwały ciągle boje o podkupowanie sobie posad, przebywanie bowiem w pobliżu króla dawało ogromne możliwości ciągnięcia profitów z jego łaskawości, szczenobliwości, i rozrzutności.

Z CUDZYCH ŁANÓW



Rys. JERZEGO FLISAKA („Szpilki” 1980 r.)

wieści ponadgminne

„Tygodnik Kulturalny” zamieścił przedostatnio rozmowę Andrzeja Zakrzewskiego z Natanem Ejdelmanem, radzieckim historykiem i pisarzem, członkiem radziecko-polskiej komisji do spraw badań i likwidacji tak zwanych białych plam, których w naszych wzajemnych stosunkach mamy więcej niż wiele. Rozmowę tę, uczciwą i konkretną, czyta się jednak z trudem i ciężko. Zakrzewski o coś pyta, Ejdelman odpowiada, a ktoś tam — może w redakcji, a może w innym miejscu — wywala fragmenty pytań i odpowiedzi. Nawiasów z wielokropkami da się w tym niezbyt długim tekście naliczyć kilkanaście. Oto jeden z nich, pierwszy z brzegu: „Śmieszne jest dziś prowadzić spory [...] Być może chodzi o szczegóły do wyjaśnienia”.

Faktycznie, śmieszne jest prowadzić spory na tematy oczywiste, ale jeszcze śmieszniejsze wydają się być wysiłki obskurantycznego ciemniactwa, które za wszelką cenę postanowiło nie dopuścić do uczciwego wyjaśnienia kwestii nieraz bardzo bolesnych, bez wyjaśnienia których nie może być jednak mowy o prawidłowym ułożeniu naszych wzajemnych stosunków do brośniedzkich. Siły te najwyraźniej uważają, że jeśli nie można zamalować ponownie na białą znikających białych plam, to niech przynajmniej tu i ówdzie pozostaną plamki, takie przyszczyki do rozdrapywania w samotności i po cichu. Czy zdobędziemy się kiedyś na to, żeby zacząć je nazywać po imieniu i nazwisku?

KOMENTATOR

„RAPTULARZ ZAKOCHANYCH” JANA SZTAUDYNGERA

LIPIEC

7. ★
Cyryl wyszedł z mody. Gdy zastosował... metody.

8. BRAK ŚWIADKÓW
Cnotliwa nie ma świadków Na gładość swych pośladków.

9. KAPITULACJA
Szczęścia sztuka w pornografii. Kto inaczej nie potrafi.

10. UMIAR
Trzeba mieć wiele taktu i umiaru. By z miłości, jak z mleczka, nie odmuchać czaru.

11. GWARANCJA
Gwarancja cnoty — To brak ochoty.

12. MYSLI
Kiedy widzę ładną buzię. Zaraz myślę mam łobuzie.

13. OBOJE
Oboje bardzo do siebie lgnęli. Ona do miecza, on do kądzieli.

prawdy spektakularne

Mieć o czym milczeć jest złotem

BORIS CWETANOW

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

[...] Więc to są czasy polskiej odnowy
Kto nas pociesza a kto nas głodzi
Wszystko wiadomo czas się przedłuża
Lecz Polak życie twardo pobudza
A choć strajkuje płacą mu za to
Bo każdy jeść chce więc kupi za co
Co dzień kolejki się wydłużają
Lecz do sklepów mało wciąż dają
I naród głodny nagi i bosy
Gdzie się podziały polskie zapasy
Chyba już każdy przywykł do tego
By życiu sprostać a tu nic z tego.

Półnota biograficzna: Hektor (patrz „Podredakcyjna ekstrapocztka”).

1		2	3	4		5	6		7
		8							
9	10					11		12	
13				14					
15			16						
					17		18		19
20		21					22		
23					24	25			
27						28			

POZIOMO: 1) „Rudy”, 5) przetak, 8) naczynie do gotowania, 9) w lazience, 11) wydobywa się z wulkanu, 13) marka polskiego aparatu fotograficznego, 14) skorupa słuczonego naczynia, 15) opłata stała, ustalona urzędowo, 17) warzywo, 20) polski piłkarz, gracz „Romy”, 22) grupa wysp indonezyjskich w Molukach Płn., 23) państwo arabskie, 24) miasto w płn.-wsch. Etiopii, port nad Morzem Czerwonym, 26) nerwowiec, 27) towot, 28) płaca od sztuki.

PIONOWO: 1) zuch, śmiać, 2) płomyk, światło, 3) ziemia przeznaczona pod zasiew, 4) narzędzie ogrodnicze do pielenia chwastów, 5) grecka bogini księżyc, 6) mityczny lotnik, 7) daszek nad paleniskiem, 10) miłośnik, zwolennik, 12) rzymska bogini ułotzami, 16) zapowiada audycję te-

lewizyjną, 17) prawy dopływ górnej Wisły, 18) arkan, 19) z grupy potasowców, 20) diabeł, szatan, 21) powieść Zoli, 25) bazar muzułmański złożony z wielu uliczek.

(GENTO)

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10 dni nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE
KRZYŻÓWKI Z NR. 24/88

POZIOMO: dzwon, regulator, marazm, szyper, Boruta, spacer, kabalarka, napój. PIONOWO: szturm, romans, denaturat, kołysanka, gamoń, jelen, ataman, Sianów.

Za prawidłowe rozwiązanie nagrody książkowe wylosowały: MIROSLAWA MATEJKOWSKA (Łomża), ELŻBIETA MUSIAŁ (Łomża) i TERESA STARZYŃSKA (Zambrów).

Z NOWEJ KSIĘGI PRZYSŁÓW POLSKICH

Z MAŁEJ CHMURY WIELKI DESZCZ